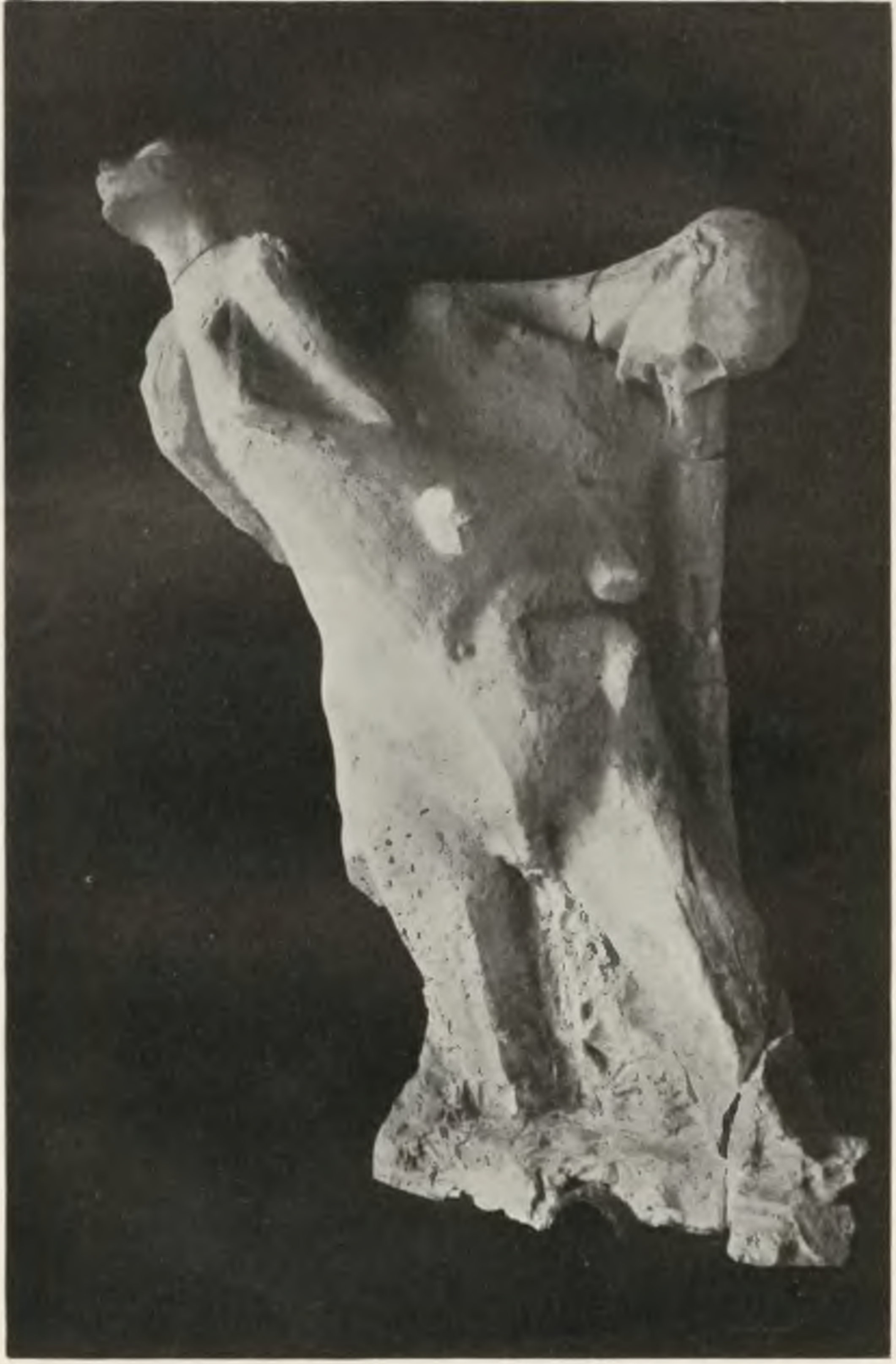
S Z T U K A

ZESZYT II i III

KWIECIEŃ, MAJ 1911



CZŁOWIEK Z FAJKĄ
VINCENT VAN GOGH



TWÓRCZOŚĆ
XAWERY DUNIKOWSKI



BORUTA
TADEUSZ PRUSZKOWSKI

JOAÑES: AHASVERUS BRACIOM: ŁAŃCUCHA

WSTĘP.

WROTA SWIĄTYNI SĄ ZAMKNIĘTE:

O nadziei mojej wielkiej, dobrej nowinie, mogę mówić jeno szeptem. Jest ona żywym czynem, spodziewanym przez odległe już a posępne dzieciństwo. Ze zgaszonemi plamami słońca w kałużach ulic, ze zdławionymi świtami łkanej tęsknoty zapatrzonego dziecka, odeszła opowieść prawdziwa mego przeznaczenia, do której (nieubłaganie dla siebie i dla innych) dziś wracam. Amen. Szczęście jest w skroniach, uzbrojonych w strzałki z kości słoniowej, które ściskają wzrok — i szczęście w szczękach, które w czas Białego Miecza nie wykrztuszą przebaczenia.

Ślepym dane jest wypukłe pismo zdarzeń duchowych. Z tym duchem obcym nieraz czyniliśmy przymierze, ale jedno zawsze — do ściany mlecznej, o którą obija się echo wiekuistej walki i łomot padających czaszek.

Tam gnuśność moja (że biczowana) ma kres. Odtąd powstaje jak kwiat po rośnej nocy.

Kiedy odtrąciłem jedwabiste czarne skrzydła od głowy, które niedawno miały jeszcze pieszczotliwość puchu — poczerniały w łuski i wysunęły zardzewiałe szpony. Chwała ciasnym oknom i wązkim mostom przejścia. Niech zapieni się obok poemat otchłani!

W ogniu czystości wyskrzydlą się ręce maga, które dotkną Ciała Bożego.

Na brzegiem cichej wody, lub gdziekolwiek w sercu rzeki — niech się pali milcząca moja samotność. Imiona prawdy odrzucam jak poplątane cienie. Cud, że mi cały świat wierzeń i przeczuć (żywy), wszystkie archanioły i szumy orłowe dali, wszystko to spłynęło w jeden pachnący kwiatek. Trzymam go w ręce jak hostję i sprawuję nabożeństwo Połączenia. Oblubieńcem moim i bożkiem nazywam go płomiennym, i mocy mojej twórcą. Zaprawdę na więcej mnie nie starczy.

Kwiat mój jak kula światła nad trumnami wód. Mały, lśniący śpiewak tajemnicy. Dygoce w mych palcach: komunja ducha i ciała na ołtarzu oczu, a w dole i poza mną siność wody. Na płatkach, przed którymi spowiadam się z wieczności, dymią jeszcze krwawe ślady ust przyjaciela.

Oddaje kwiat memu dzieciństwu, uciszam Dziecko — Niegdyś — Siebie, w niepokoju czekające na moje przyjście.

A kiedy wiary, jak napoje palące a zbawienne, pieniły się po brzegi kielicha, rzuciłem kwiat.

I aby gwałtowne szczęście gwałtownie przełamać, rzuciłem kwiat ku nowym przewrotom — ze Słowa.

SŁOWO.

SOBIE KU POUCZENIU, A BEZIMIENNYM NA CHWAŁĘ.

1. Jeżeli kto nie ma się być równym w narodzie, że jest odmieńcem, to może być wyższym, albo niższym od ludzi.

   A kto bez woli własnej odmieniec — strachu żywego nie wolny, musi on poznać się niższym.

   Kto zaś nad zwierzęty i djabły oczyma białemi bez gniewu nie panuje, lubo kto dobroć cichą przez żądze traci, lubo litością okrutną serce sobie i innym psowa, albo złością mściwą a bezsiłą smutek haniebny syci:
   jakżeby mógł ludziom ręce na czoła kłaść i sznurów drabiny Jakóbowej imać?

   Tacy niech w cichości serca trwają, a będzie to godniej.

2. Oczy oddaj na pastwę, nie są ci one jeszcze błyskawicą przeznaczenia, abyś je chował a krył zazdrośnie: zbądź się niewczesnej dumy jaźniowej, kiedy dumę kochasz. Jakżeby ona w tak mizerne wchodziła oprawy.

3. Zbądź się może i duszy swojej! bądź zbyt dumny na to, aby w tak nikczemnej trwała powłoce. A przywołasz ją do świątnicy zgotowanej.
4. W pustelni wielce — ludzkiej przez się zamknięty, ja, tylko uczeń pod maską świeckiej zabawy, pisałem to ku chwale wyjścia z samotni. Joannes Ahasverus.

OBUDZENIE.

5. Przetarłem oczy zaspane i w opuszczeniu poznałem siebie. W zgrozie płytkiej otchłani. Na nizkim szczeblu dojścia. W mgłach strachu zwierząt szczutych. W gniewnym ogniu zwierząt łupu. A przytem złoto w trędowatych ręku: jakoby zając otrzymał objawienia lwa. Tak przed czasem! Rzecz cudowna i niepojęta, więc użyłem jej na nieszczęsne samooszustwa zrozpaczonej, niepojmującej woli.

Q. E. Objawienie na miarę wnijścia w nieśmiertelność na sercu człowieka małej wiary spalone.

DROGA.

6. Ponurość i zabobon oczu mówi pod przenośnią życia: zawiniłeś w czas onych żywotów, które pamięci twej niepodległe.
7. Odarci przez jakieś podejrzliwe zło i nawiedzeni przez pogardzone nieszczęście, że już święte słowa im obrzydły, niech unikają Imion w czas wielkich uczuć, aby duszy nie mącić.

8. Dążenie do czystości nie jest złamaniem ciała: blask serca cielesnego pokaże, co nieczystość, a co posłuszeństwo, winne niedoskonałości koniecznej.

Q. E. Dobroć jedna zmywa piętno. Sługa oszczędnego serca najniższym jest w rodzaju ludzkim.

ROZMYSLANIA.

9. Ziemia jest mała, a przez ludzi-duchy — nieskończenna w duchu.

10. Kiedy poniesiesz duszę, jak oliwkę w miękkich dłoniach, a nie przyjmą jej ku biesiadzie, powiedz: Czemu mnie złym chcecie? Gdybyś jednak nim nie był w tej chwili, nie pomyślałbyś ich złymi.

11. Stało się, że przez okrucieństwo zbytniej litości krwawią się dusze najbliższe aż do łez. Zbrodnia ciemnoty w tem, że zawstydzoną jest kołyska duszy najbliższej więc i mojej.

12. I jeszcze jedno: czy mogę gardzić ziemią ludzką, gdzie daną jest taka miłość, której w snach bym nie wyśnił? Ziemia drogich moich niech się stanie. Amen.

13. Owszem, stworzę ją. Choć nieskończenna w duchu, obejmiemy ją, o Bracia Łańcucha, przeto czuwajcie.

Q. E. Nienawiść obrazu twego, to czarna melankolja duszy i choroba śmiertelna. Wiedząca miłość niech uleczy.

OBIETNICA.

14. Kiedy spalenizna zejdzie (znak widomy): staniesz u wrót. Spękają szkła przestworzy, czas jak popiół w ręku zwiędnie. Jeszcze raz zmoże się duch, białe szczęście zalśni nimbem świętych nad głową: doświadczany i mocny będzie duch w Prawie Łańcucha.

OTWARCIE WRÓT.

15. Wola, która się jeszcze nie skończyła (samobójstwo jest nieporozumieniem, albo ściemnieniem się wiedzy ostatecznej), przywoła jeszcze po wielekroć ciało na się, aż sprawa się nie wypełni. Kto wie o tem, ten zrozumie:

Q. E. Obcowanie Świętych.

16. Więc będę musiał, jeżeli dziś nie starczy mi sił, który zeszpeciłem ciało — duch, przez powroty i odejścia sięgać pomocy przychodzących i odchodzących. A zresztą dzieje się to na każdem miejscu rozważenia czyli dojścia.

17. Śpiewa serce i ziemia odrodzona: A kiedy dojdę, czas ustanie i jeszcze raz (a wiecznie) przeżyję w nieśmiertelności — po promieniu słońca rzekomo — życie moje i wasze od prawieków (w strachu śmierci ongi przespane). I będą szczęśliwi ze sobą, którzy w nieszczęściu razem trwali.
Zniknie ciemność leżąca na rzeczach i zdarzeniach, a stanie się hymn jasności od początku. Kto to wie, ten zrozumie:

Q. E. Zmartwychwstanie Ciała.

KUSICIEL BIAŁY.

Nie spodziewałeś się kiedyś, że ci dusze poniektórych ludzi drogie będą. Sam często zrzeczesz się nieba dla cudzego zaufania. Gubisz się tak i odnajdujesz: jak pożoga rozpala się twoja miłość i zolbrzymia się świat.

Nieraz patrzyłeś w siebie głęboko, wyklęty Ahasverze, upiorny Żydzie-Tułaczu, iżeś djabeł-kusiciel, klejnotami dziwnymi kusisz, a dusze kupujesz? A kiedy w noc odepchnięcia i opuszczenia, dżdżystą i surową— pamiętasz? — — —

I tyś nie wierzył w człowieka?! Jakaż to chytrość macierzyńska nauczyła cię maszkary nienawiści? Gwarną była twoja samotność.

„Jestem pokusą Morza, będziemy jedno“: oto leżało w zanadrzu osamotnień. Bo i czemu byś się radował duszom-żagwiom?

Śniłeś radość kusiciela, który znienacka podpala Wiekuiste Morze Świętego Ognia.

Tęsknisz do człeka onego, co za murami nocą zdąża do bezcelu? albo pokochasz, których los jak nici dzierzga się z twoim, iż przyjęli cię bezbronnie w on czas ustawicznego bojowania.

Czem jest przyjaźń w czas zamaskowanego łupu, w czas dzisiejszy, jeśli tak bohaterska?

Broń odpasał, stanął jakoby na wieczność we wrotach, na wieczność powitania.

Znasz-że już taką miłość, która święte nazwy daje ludziom, a ziemię potwierdza i usprawiedliwia?

Zniknęliśmy w cieniu murów, aby na serca ze sobą się pomieniać. Nikt nie patrzał, nie widział, a stało się święto czasom uchodzącym, że konały w radości. Nikt nie słyszał, a dzwonienie wielkie nad nami. Dla przyjaźni napisałem Słowo, że z pod korca świeci i z milczenia głośno o sobie powiada.

FINIS

WIELKA IZBA

A oto jak ta wielka izba wyglądała,
Gdzie gość uprzejme słowo znalazł i wytchnienie,
Co chrzest widziała synów, znała przodków cienie,
Przodków, których do trumny tu składano ciała.

Tu obchodzono święto, jak się zwykle czyni
W dni kiermaszu i targu; od wielkiego dzwonu
Tu w złotym naszyjniku, jak na stopniach tronu,
Królowała pośrodku zmarła gospodyni.

Sciany były tynkowe; a po kątach stały
Dwie ciężkie szafy w deseń mieniący się cały;
W głębi Chrystus gipsowy marł pod baldachimem

I patrzył, jak obecnych ogarnia szał wina;
A swą nieznośną wonią tłuszcze i słonina
Otaczały Go zewsząd, jak kadzideł dymem.

EMILE VERHAEREN.

tłom. Zdzisław Witmir.



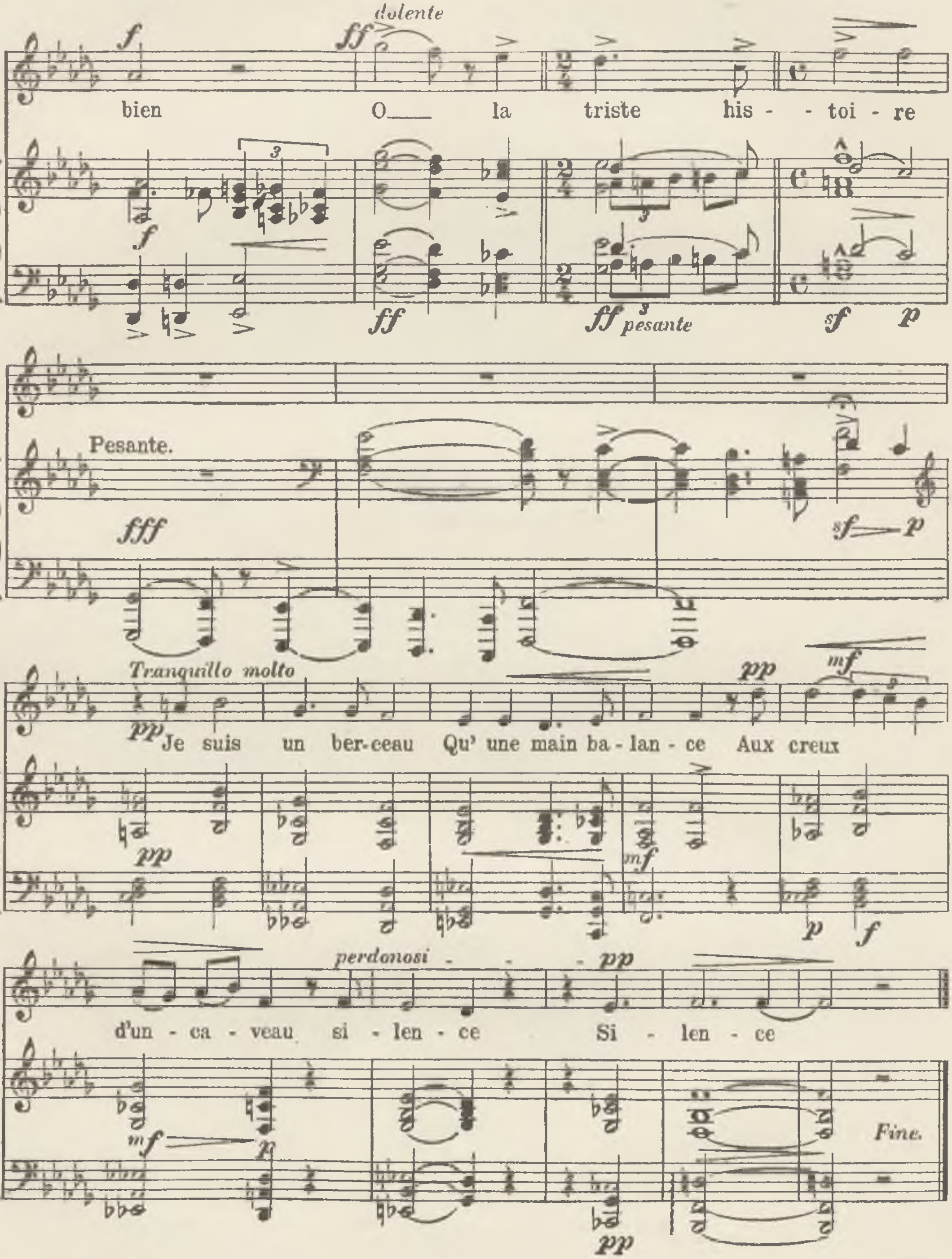
„UN GRAND SOMMEIL NOIR“

à, Madame Olga Brotan.

(Ton original.)

Poésie de Paul Verlaine. Eugène de Morawski.




dolente
bien O la triste his - toi - re
pesante
Pesante.
Tranquillo molto
Je suis un ber-ceau Qu' une main ba - lan - ce Aux creux
d'un - ca - veau si - len - ce Si - len - ce
perdonosi
Fine.

„UN GRAND SOMMEIL NOIR"

Z CYKLU „SAGESSE"

Snu mi czarnego mgła
Życie ocienia:
O, śpij, nadziejo ma,
Śpijcie, pragnienia!

Na oczy mrok mi spadł,
Pamięć mi mdleje,
Zła, dobra tracę ślad...
O, smutne dzieje!

I jakaś ręka mnie,
Kołyskę lichą,
Buja... Na grobu dnie:
Cicho, tak cicho!..

PAUL VERLAINE.

tłom. Zdzisław Witmir.



OCZY 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐
卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 MIASTO.

SŁOWO.

W oczach mi się odbija świat cały, spojrzenie
Warte jest ciszy ducha, cisza znowu — śpiewu,
W słowach drobnych, przez które wieje zapomnienie;

Pamięć oczu jak liście jest kwitnące drzewu:
— Czas nawraca, pogasły w gęstwinie płomienie,
Poprzez pnie widać morze... ...cisza warta śpiewu.

NOC.

Noc granatowa wkoło marzenia zamyka
W jedną cudowną całość chłodnego powiewu,
Cicho jest teraz trawom i ciemnemu drzewu,
Co sypko szumi zdala na skraju trawnika; —

Nie zamknę długo okna: niech szeleszczą karty
I spadają owady w cichy syk płomienia; —
Górą gdzieś leci ptactwo, sznur na ślepo zwarty,
Ku dalekim majakom, w nieba zróżowienia.

DOMY.

W mrocznem połświetle nieba blade domów ściany
Pną się wysoko, nikle, niby zamków góra,
Ponad zwykły horyzont, bez śladu rozlany
W daleką gwiezdną głębię, która drży jak pióra;

Czasami nagle obłok, sunąc niby nawa,
Gdzie marzenia uśpione zwisły przez krawędzie,
— Wywyższy się ponad nie i jak srebro stawa: —
Wtedy lekko lśnią okna w długim, prostym rzędzie.

BALKONY.

Balkonów jeszcze śpiących drobno siane kwiatki
Z porankowej modrości żywe piją wody:
Miodne dzwonki, ku ziemi pochylone bratki,
Rozrosłe w nizkie, gęste motyle ogrody; —

Słońce świeci szeroko, jeszcze trochę krwawe,
Pod murem płynie woda z otworzonej studni, —
Daleko wzlata ptactwo od światła złotawe,
W czystość dnia zbudzonego, nim się bruk zaludni.

WIATR.

Obłoki się za morza rwą, wysmukłe drzewa
Za wiatrem pień skrzypiący wolno nachylają,
Z murów dudniących głucho biały pył powiewa,
Iskrzące druty w mieście niby harfa grają.

Tak daleko się rodzi piana w gładkiej rzece:
Nie słychać stąd szczękania więzów, parcia sznurów,
— Tylko się pali nagle twarz w południa spiece
Gdy wiatr ścichnie pod słońcem ognistych lazurów.

ZACHÓD.

Miedziane światła cegieł, które jeszcze płoną,
Gdy rozżarzony popiół szafiry przenika,
Są jako myśl niebaczna nad kruchą koroną,
Gdzie rozwarte spojenia szydzą z snów złotnika.

Nizko spadają w szarość wyniosłe podpory,
Załamania dziwaczne śródmiejskich przełęczy;
— Rozwleka się zasłona jak pokutne wory,
Pod któremi zgniecione kryją się szkła tęczy.

DRZEWA.

Proste, wysokie drzewa, tonące w błękicie,
Gdzie rozśpiewane nikną niby mgła nadzieje,
Ich liście wahające się na giętkim szczycie,
Widzą świat niby morze, gdzie radość dojrzeje;

Dołem ogromne koła biegną w pyle drogi,
Obok, w rowie, traw duszna zieleń się wynosi,
— Płynie pod nią pasemko wody przez mchów progi
I perłami swych kropel zbitą gęstwę rosi.

RZEKA.

W wodzie gęstej od gliny zalewów szerokich,
Bokiem, o który wolno pluska drobna fala,
Gdy wiatr okręca szmatę na masztach wysokich,
Ładowna ciężko krypa odbija od pala.

I długo ją prostuje prąd, — wokół przegania,
Ster skrzypi i trą liny o pokładu wieko,
Aż póki wielki żagiel wydmie się, jak bania,
I sunie wolno żółtą pomętniałą rzeką.

DESZCZ.

Dopóki się wśród ciszy horyzont daleki
Grubemi filarami dżdżu z obłokiem łączy, —
— Słychać śpieszny zgrzyt świerszczów wśród łąko-
wej spieki,
Gdzie przez powietrze ciężko zapach ziół się sączy;

Ale zwolna bieleje już słoneczne płomię,
Wiatr za chwilę uderzy w duszność nagły, — rwany,
I po trwożnie do ziemi zgiętej zboża słomie,
Ulewa spłynie w ziemię, w mętne kałuż piany.

WIECZÓR.

Białe jak widma wzgórza, piasków chłodne zbocza,
Gdzie woda lśni zdaleka przez gałęzi kraty:
— Z za grzbietów, które w ciemne pną się bezobłocza,
Jak pyłem żółtym, księżyc prześwieca rogaty;

Dzwony modlą się smętnie: — o ziemio daleka
Gdzie się jeszcze gór krwawią głowy ośnieżone...
W zaroślach, przez kamienie, zdrój powolny ścieka,
Bez ruchu stoją sosen kępy omroczone.

SŁOWO.

Dnie i noce, — na sercu ległyście mi kwiatem
Wątłym, jako dziewczęcej pieszczoty ramiona,
Niby emalja niebo wgłębia się granatem;

Wstaję, i wolnym krokiem do ciężkich drzwi dążę:
A gdy bezmierna przestrzeń znów jest odemkniona,
— Za gwiazdami się w ciemność nieukojnie grążę.

ALEKSANDER SZCZĘSNY.



SPOTKANIE
WITOLD GORDON

SPOTKANIE 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

NOWELA.

卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 „THE ASSIGNATION. — VENICE".

Stay for me there! I will not fail
To meet thee in that hollow vale.

(Henry King, Bishop of Chichester. „Exequy on the death of his wife")

O, człowieku nieszczęsny i tajemniczy, pochłonięty przez promienność własnej wyobraźni i gorejący płomieniem własnej swej młodości! Znów w myślach widzę Ciebie! Raz jeszcze widmo Twe powstaje przede mną — nie tak — o, nie tak, jakim jesteś w chłodnej dolinie i w cieniu, lecz jakimbyś powinien być, oddając życie całe promiennym rozmyślaniom w mieście widzeń mglistych, w Twojej Wenecji — która jest Elizeum morza, ukochanem przez gwiazdy — gdzie palladyjskie zamki z taką uwagą i goryczą patrzą wielkiemi swemi oknami na tajemnice milczących wód. Tak, powtarzam, jakimbyś powinien być. Są napewno inne światy, prócz tego — inne myśli, prócz myśli tłumu — inne rozumowania, prócz rozumowań sofistów. Któż więc może rozkazać Ci abyś zdał sprawę z uczynków swoich? Któż sądzić Cię będzie za chwile widzeń pełne, kto rzeknie z pogardą, że bezowocne było zmarnowane życie, przez którego brzegi przelewała się niewyczerpana Twoja energja?

Było to w Wenecji pod sklepieniem Ponte dei sospiri, — gdy po raz trzeci lub czwarty widziałem tego, o kim mówię. Jako dalekie już wspomnienie powstają w mej pamięci szczegóły tego faktu. Ale pamiętam (o, bo czyż mógłbym zapomnieć?) północ —

Most Westchnień — piękność kobiety — duch romantyczny, błąkający się po wązkim kanale... Noc była ponura niezwykle. Wielkie dzwony na Piazzy wydzwoniły już pięć godzin wieczoru włoskiego. Pusty i niemy był skwer dzwonnicy i wcześnie pogasły światła w starym Pałacu Dożów. Wracałem do domu z Piazzetty, płynąc Wielkim Kanałem. Kiedy gondola moja mijała ujście kanału św. Marka, z głębi jego wpadł nagle w ciszę nocy głos kobiecy szalonym, histerycznym, długotrwałym krzykiem. Zerwałem się, krzykiem tym rażony; a gondoljer wypuścił wiosło i zgubił je w nieprzeniknionym mroku. Straciwszy wszelką nadzieję na odnalezienie wiosła, zostaliśmy na łasce potoku, wpadającego z Małego kanału do Wielkiego. Niby czarnoskrzydły kondor dążyliśmy teraz ku Mostowi Westchnień, gdy wtem światło tysiąca pochodni, które zapłonęły w oknach i na wschodach Pałacu Dożów, zmieniło głęboki mrok na sino-krwawy dzień sztuczny.

...Dziecko wyślizgnęło się z rąk matki i upadło z górnego okna wysokiego gmachu do głębokiego i ponurego kanału. Niezmącone wody spokojnie zamknęły się nad swą ofiarą; a choć w pobliżu widać było moją jedynie gondolę, już kilku śmiałków próżno na powierzchni potoku szukało skarbu, któryby tylko na dnie, niestety, znaleźć było można. Na szerokich płytach marmurowych, wiodących do pałacu, tuż nad wodą stała postać, której nikt z obecnych od tej chwili zapomnieć nie mógł. Była to uwielbiana przez całą Wenecję, najweselsza z wesołych, najbardziej czarująca tam, gdzie wszyscy byli piękni, markiza Aphrodite — młoda żona starego intryganta

Mentoniego i matka cudnego dziecka, pierwszego i jedynego, które teraz, głęboko pod powierzchnią ponurych wód, z serdeczną goryczą myślało pewno o pieszczotach jej słodkich.

Stała sama. Jej obnażone, drobne, srebrzyste nogi jaśniały na czarnym marmurze. Włosy jej, ledwie w połowie wyzwolone z balowych upiększeń, pośród brylantowego deszczu zwijały się wokoło klasycznej głowy w loki podobne do płatków młodego hyacyntu. Śnieżno biała, niby gazowa zasłona, była jedyną szatą, zakrywającą jej delikatne kształty; lecz tej nocy letniej powietrze gorące było i duszne i żadne poruszenie nie wstrząsało fałdami zwiewnego odzienia, tak opływającego tę zjawę podobną do posągu, jak opływa Niobę ciężki potok marmurowych fałd.

Lecz — o dziwo! jej wielkie oczy błyszczące utkwione były nie w mogiłę, co pochłonęła jej nadzieję promienną, lecz w stronę przeciwną. Więzienie Starej Republiki przedstawia, jak myślę, najwspanialszy gmach w całej Wenecji; lecz jakże mogła ta kobieta patrzeć nań, kiedy w dole, pod stopami konało jej własne dziecko? A przytem, ciemna i ponura wnęka zieje oto wprost okien jej komnaty, cóż więc takiego być mogło w architekturze, w gzymsach wspaniałych, otoczonych bluszczem, czego by markiza di Mentoni nie podziwiała już przedtem razy tysiąc? Ha, któż nie wie, że w takie, jak ta chwile oko, niby zwierciadło stłuczone pomnaża obraz swego smutku i w miejscach oddalonych widzi ten ból, który pod dłoń się ściele?

O kilka kroków od markizy stał sam Mentoni w stroju balowym, na twarzy podobny do satyra. Zajęty był

grą na gitarze i z widocznem znudzeniem, wydawał od czasu do czasu rozkazy, co do tego, gdzie szukać należy dziecka.

Oszołomiony i pełne lęku nie miałem sił usiąść, i jak zerwałem się, usłyszawszy krzyk, tak pozostałem — wyprostowany — z twarzą bladą — jakby zastygły. Tak płynąc w grobowej gondoli, musiałem owej grupie ludzi wydać się jakiemś zjawiskiem złowróżbnem. Próżne były wszelkie wysiłki. Ci, co z największym szukali zapałem, słabli i pogrążali się w smutek ponury. Zdało się, że dziecku pozostało bardzo niewiele nadziei (a więc o wiele mniej matce), gdy wtem z czarnej wnęki, która, jak mówiłem, stanowiła część starorepublikańskiego więzienia i znajdowała się naprzeciw zakratowanego okna markizy, wstąpiła w smugę świetlaną postać, otulona w płaszcz i, poczekawszy chwilę na brzegu ponad przepastną głębią, runęła do kanału. A kiedy w chwilę potem, człowiek ów stał na marmurowych wschodach przy Markizie, trzymając w swych ręku jeszcze żywe, jeszcze oddychające dziecko, rozwarł się jego płaszcz przemokły i ociężały, i padł mu u stóp, odsłaniając przed zdumionymi widzami zgrabną postać młodzieńca, którego imię rozbrzmiewało wówczas w większej części Europy.

Zbawca nie rzekł ani słowa. A Markiza! Schwyci teraz dziecko — przytuli do serca — przylgnie do maleńkiego ciałka spragnionego pieszczoty. Niestety! obce ręce przyjęły je od cudzoziemca, — obce ręce zaniosły je daleko — do pałacu. A Markiza! Jej usta — piękne jej usta drżą; oczy napełniły się łzami — te oczy, jak acanthus Plinjusza, „łagodne i niby z mgły stworzone“. Tak! oczy jej napełniły się łzami —

i oto dusza jej zadrżała i przelękła się i życiem drgnął posąg. Ujrzeliśmy nagle, jak blady marmur twarzy i pełnia marmurowej piersi i nawet biel nóg marmurowych pokryła się zwiewnym nalotem niepohamowanego rumieńca, a lekkie drżenie przebiegło jej ciało delikatne, jak cichy wiaterek w Neapolu, słaniający się w trawie śród lilji srebrnych.

...Przejęta pośpiechem gorączkowym i strachem serca matczynego, Markiza nie pomyślała, porzucając swój buduar, o włożeniu pantofli na drobne stopy, o narzuceniu okrycia godnego pleców Wenecjanki. Cóżby innego być mogło przyczyną jej rumieńca? — i zapalić te oczy szalone, przyzywające? — i tak niezwykle wzruszyć wznoszącą się pierś? — i tak kurczowo zacisnąć drżącą dłoń, tę dłoń, która przypadkowo upadła na dłoń cudzoziemca, kiedy Mentoni odszedł do pałacu. Jakaż przyczyna sprawiła, że rzekła tak cicho, tak szczególnie cicho w prędkiem żegnaniu słowa niezrozumiałe: „Zwyciężyłeś!“ — (rzekła, czy może szept wody mnie oszukał) — „zwyciężyłeś“; w godzinę po słońca wschodzie spotkamy się — niechaj tak będzie!“

卐 卐 卐 卐

Zamęt ucichł, pogasły światła w zamku, a cudzoziemiec, którego teraz poznałem, stał sam na płytach marmurowych. Drżał z niepowstrzymywanego wzruszenia i oglądał się wokoło, szukając gondoli. Nie mogłem nie ofiarować mu swojej. Dostaliśmy w przystani wiosło i popłynęliśmy razem w kierunku jego pałacu, a on tymczasem opanował się zupełnie i za-

czął mówić o naszej przelotnej znajomości w wyrazach nader, zdało się, serdecznych.

Są przedmioty, na których uwagę zatrzymuję bardzo chętnie. Cudzoziemiec, — niech wolno mi będzie tak nazwać tego, który był obcy dla całego świata, — był wzrostu niższego prędzej niż średni, choć były chwile natężonej namiętności, kiedy dosłownie wyrastał. Promienność i dziwna symetrja jego oblicza wskazywały raczej na zdolność do tej zręczności, którą okazał przy Moście Westchnień, niż na herkulesową siłę, którą, jak wiadomo, odznaczał się przy okolicznościach bardziej niebezpiecznych. Boskie usta i podbródek; niezwykłe, szalone, wielkie, niby zwilgotniałe oczy, których kolor zmieniał się od czystego bronzu aż do mieniącego się silnie agatu; bujne, kręcone czarne włosy; niezwykle duże czoło koloru kości słoniowej — oto były rysy jego twarzy tak klasyczne, że nigdzie nie widywałem podobnych, wyjąwszy może marmurowe rysy imperatora Commodusa. A jednak, twarz jego była jedną z tych, które każdy widział w pewnych chwilach swego życia, a których potem nie spotykał nigdy. Nie było w niej nic niezwykłego — żadnego panującego wyrazu, który mógłby pozostać w pamięci; twarz ledwie ujrzana, a już zapomniana, lecz zapomniana z jakiemś niejasnem i nigdy nie ścichłem pragnieniem wywołania jej w myśli.

W noc wypadku, przy pożegnaniu prosił mnie, a jak mi się zdało nader usilnie, żebym zaszedł do niego nazajutrz rano, bardzo wcześnie. Zgodnie z tem, wkrótce po wschodzie słońca wchodziłem do jego palazzo, jednego z tych gmachów ogromnych, pełnych ponurego lecz fantastycznego przepychu, które piętrzą

się nad wodami Wielkiego Kanału w pobliżu Rialto. Po szerokich, kręconych schodach, zdobnych w mozaiki, wprowadzono mnie do komnat, których bezprzykładny przepych, błysnąwszy jaskrawie przez otwarte drzwi, oślepił mnie i oszołomił swoją wspaniałością.

Wiedziałem, że znajomy mój był bogaty. Szły takie wieści o jego bogactwach, że mogłem uważać je nawet za przesadę. Lecz rozglądając się teraz wokoło, sam nie chciałem wierzyć, aby środki jakiejkolwiek jednostki prywatnej w Europie wystarczyły na otoczenie się takim królewskim przepychem, jaki skrzył się tutaj.

Choć słońce, jak rzekłem, już wzeszło, komnata była wspaniale oświetlona sztucznem światłem; (wnioskowałem stąd, oraz ze zmęczonego wyglądu przyjaciela mego, że nie kładł się wcale tej nocy). Budowa i ozdoby ścian jawnie świadczyły o zamiarze oślepienia i zadziwienia. Bardzo niewiele zwrócono uwagi na zachowanie tego, co się w języku technicznym zwie stylem lub całokształtem narodowego smaku. Oczy przechodziły z przedmiotu na przedmiot, nie zatrzymując się na żadnym — ani na groteskowości greckich malowideł, ani na rzeźbach z najpiękniejszych dni włoskiej epoki, ani na olbrzymich rżniętych ozdobach Egiptu, który nie miał nauczyciela... Bogate kotary w różnych częściach komnaty drżącemi poruszeniami odpowiadały cichej i smutnej muzyce, niewiadomo zkąd płynącej. Zmysły były zgnębione pomieszaniem różnych kadzideł, które gorejąc wypływały z dziwnych, zwiniętych jak liść, kadzielnic, razem z błyszczącymi językami szmaragdowego i fjoleto-

wego płomienia. Fale blasków niedawno wzeszłego słońca lały się na wszystko przez okna, z których każde tworzyło jedną krwawą taflę. Poczynając od zasłon, potokiem spływających z gzymsów, niby wodospady roztopionego srebra, promienie światła naturalnego błyszcząc we wsze strony tysiącem odbić, wdzięcznie mieszały się w końcu ze światłem sztucznem i jednolitemi już pasmami kładły się na kobierce z bogatej, jak gdyby płynnej materji, tkanej złotem czylijskiem.

— „Ha! ha! ha! — ha! ha! ha!“ — zaśmiał się gospodarz, kiedy wszedłem do komnaty, i wskazując mi krzesło, sam rzucił się na kanapę jak długi. „Widzę“ — rzekł, zauważywszy, że nie mogę oswoić się odrazu z *bienséance* takiego niezwykłego przyjęcia, — „widzę, że pan jest zdumiony moją komnatą, moimi posągami i obrazami, oryginalnością moich pomysłów w budowie i urządzeniu? ah, wprost — upojony przepychem? Ale wybacz mi, proszę, drogi mój (tu w intonacji jego głosu zadźwięczała najbardziej szczera serdeczność) nie gniewaj się na mnie za mój śmiech bezlitosny. Sądząc z twarzy pańskiej był pan zdumiony *do najwyższego stopnia*. A przytem rzeczy niektóre są tak śmieszne, że człowiek *musi* śmiać się lub umrzeć. Umrzeć — śmiejąc się, to chyba najlepsza ze wszystkich dobrych śmierci. Sir Thomas More — wytworny był Sir Thomas More — Sir Thomas More, jak pan pamięta, umarł śmiejąc się. I „Absurdy“ Rawizjusza Textora podają długi spis osób, które doszły do tego samego wspaniałego końca. A wie pan, — ciągnął dalej zamyślony, — że w Sparcie (dziś Palaeochori), że w Sparcie,

mówię, na zachód od fortyfikacji, pośród chaosu ledwie dających się rozróżnić ruin, zachował się jeszcze jakby cokół kolumny, a na nim odczytać można litery:

Λ Α Σ Μ

Jest to bezsprzecznie część słowa:

Ι Ε Λ Α Σ Μ Α

Oto w Sparcie tysiąc świątyń i chramów poświęconych było tysiącom różnorodnych bóstw. Jakże to uderzająco dziwne, że ołtarz śmiechu musiał przeżyć wszystkie inne! Lecz w danym wypadku,—dodał,— a głos jego i wygląd dziwnie się zmieniły—nie mam prawa bawić się pańskim kosztem. Rzecz prosta, że mógł pan być zdziwiony. Europa nie może stworzyć nic bardziej wytwornego, niż ten mój mały gabinet królewski. Inne moje komnaty są zupełnie nie w tym rodzaju — tworzą s z c z y t szykownego niesmaku. A to jest lepsze niż szyk — nieprawdaż? I wystarczy pokazać to wszystko, aby wzbudzić niebezpieczną manję u tych, którzy za cenę całego swego majątku mogliby stworzyć coś podobnego. Ja jednak zapobiegłem takiej profanacji. Pan jest jedynym człowiekiem, prócz mnie i mego sługi, dopuszczonym do tajemnic tej posiadłości królewskiej, od czasu, kiedy ją tak urządziłem".

Ukłonem wyraziłem wdzięczność; władnący mną wpływ przepychu, wonności, muzyki i nieoczekiwanej ekscentryczności zachowania się gospodarza przeszkodził mi wyjaśnić słowami jak cenię to, czemu mógłbym nadać znaczenie komplementu.

„Oto"—ciągnął dalej, wstając i opierając się na mym ręku, gdy przechodził przez komnatę — „oto obrazy

od Greków do Cimabue i od Cimabue do naszych czasów. Na wybór wielu z nich, jak pan widzi, nie wszyscy by się zgodzili. Wszystkie jednak dostatecznie upiększają ściany takiej, jak ta komnaty. Prócz tego jest tu kilka chefs-d'oeuvre nieznanych mistrzów; a tu niedokończone rysunki artystów sławnych w swoim czasie, których imiona przenikliwe Akademje pozostawiły milczeniu i mnie. Cóż pan powie, — przemówił, nagle zwracając się do mnie, — cóż pan powie o Madonnie della Pieta?"

— „Ależ to prawdziwy Guido!" krzyknąłem z entuzjazmem właściwym mej naturze, chciwie wpatrując się w piękno zdobywcze. „To prawdziwy Guido! Jak m ó g ł pan wydostać go? Niema wątpliwości, że twarz ta jest w malarstwie tem samem, czem Venus w rzeźbie".

— „A!" przemówił zamyślony — „Venus", — piękna Venus? — Venus Medycejska — ze zmniejszoną głową i złoconym włosem? Część lewej ręki (zaczął mówić głosem ledwie dosłyszalnym) i cała prawa są odnowione, a w zalotności tej prawej ręki mieści się kwintesencja, jak myślę, afektacji. Dajcie mnie Canowę! Apollo jest też kopją — nie może być co do tego żadnej wętpliwości — głupiec ślepy ze mnie, nie zdolny ujrzeć przesławnego natchnienia Apolla. Nie mogę — niechże mi pan współczuje — nie mogę nie przekładać go ponad Antinousa. Czy nie Sokrates powiedział, że rzeźbiarz znalazł rzeźbę swą w bloku marmuru. A więc Michał Anioł wcale oryginalnym nie był w swym wierszu:

„Non ha l'ottimo artista alcun concetto
Che un marmo solo in se non circonscriva."

Ktoś zauważył, czy powinien był zauważyć, że maniery prawdziwego dżentelmena zawsze jaskrawie odbijają od sposobu obejścia prostaka, chociaż nikt z nas nie mógłby dokładnie wyjaśnić na czem różnica ta polega. Przypuszczając, że uwagę tę w zupełności można byłoby zastosować do zewnętrznego wyglądu mego znajomego, czułem, że bardziej jeszcze dałoby się zastosować ją do jego temperamentu i charakteru. Nie umiem tej odrębności duchowej, która tak zasadniczo odróżniała go od wszystkich innych ludzi, nazwać inaczej jak przyzwyczajeniem natężonej i nieprzerwanej myśli, kładącej pieczęć swą nawet na najbardziej nieznacznych uczynkach, — przejawiającej się w chwilach żartobliwego nastroju i przeplatającej nawet wybuchy wesołości.

Jednak, nie raz już zauważyłem, że poprzez ton swobody i uroczystości, którym o wszystkiem mówił, szybko przeskakując z przedmiotu na przedmiot, słychać było jakąś trwogę, jakieś wzruszenie nerwowe w słowach i w ruchach, dla mnie nieobjaśnione, a nawet zatrważające. Prócz tego, często przerwawszy w środku zdanie (którego początku widocznie zapominał), jak gdyby wsłuchiwał się w coś z najgłębszą uwagą, oczekiwał chwili czyjegoś przyjścia lub poddawał się dźwiękom, które brzmieć musiały jedynie w jego wyobraźni.

Podczas jednej z takich przerw rzuciłem okiem na książkę, która leżała na otomanie. Była to piękna tragedja Politian'a „Orfeusz" (pierwsza najzupełniej oryginalna tragedja włoska). Spostrzegłem miejsce pewne, podkreślone ołówkiem — urywek w końcu trzeciego aktu — urywek najsilniej wzruszający — ury-

wek, który nie może być czytany nawet przez mężczyznę bez wywołania nowego uczucia. Cała strona nosiła na sobie ślady łez niedawno przelanych, a na przeciwległej czystej kartce napisane były po angielsku następujące wiersze, pismem tak niepodobnem do charakterystycznego pisma mego znajomego, że z trudem mogłem uznać je za jego własne:

Wszystkiem dla mnie tyś była, kochanie — —
    Niby pasmo jasnej poświaty,
Niby wyspa na wód oceanie,
    Niby życia relikwiarz bogaty,
Zdobny w owoc i kwiatów przybranie:
    A moimi były te kwiaty.

Zbyt radosny był sen, by nie zginął,
    O, nadziejo, co trwasz ledwo mig!
Jakiś zew, gdy z przyszłości mi spłynął,
    „Dalej! Dalej!“ — słabnący wciąż krzyk.
Kiedy przeszłość już obłok spowinął,
    Duch mój zadrżał, przystanął i zmilkł.

I dlatego — o biada mi! biada! —
    Już pogasły płomienie mych zórz.
Morze piaskom nadbrzeżnym wciąż gada:
    „Nigdy już — nigdy już — nigdy już” —
Pień umiera, gdy piorun weń pada,
    Ranny orzeł nie wzleci wśród burz.

Teraz dni me, — jak z bajki są cienie —
    A lękliwe nocy moich sny. —
Tam, gdzie Twoje jaśnieje spojrzenie
    I gdzie krok Twój tajemnie mi brzmi — —
Czy taneczne to jest upojenie? —
    Niesie-ż fala wód włoskich te sny?—

Lecz, niestety! w podróży... na fali
Tej na zawsze przeklętej przeszłości
Taką piękną i młodą porwali
Dla zdrady — o, zabójcy miłości! —
Ode mnie, od mgieł naszych opali,
Od wód naszych srebrzystej jasności.

Wiersze pisane były po angielsku, — w języku, co do którego nie myślałem, żeby znany był ich autorowi. Zbyt dobrze jednak poinformowany byłem o rozmiarach jego wiedzy i o dziwnej skłonności do ukrywania jej przed postronnem badaniem, aby się źdźiwić takiemu odkryciu; lecz zastanowiło mnie, muszę przyznać, oznaczenie miejsca, towarzyszące dacie: odczytałem słowo Londyn, zakreślone starannie — nie o tyle jednak, żeby mogło być skryte przed wzrokiem uważnym. Mówię, że uderzyło mnie to niepomiernie — gdyż, dobrze pamiętam, raz w rozmowie z przyjacielem moim spytałem go właśnie, czy nie spotykał niegdyś w Londynie Markizy di Mentoni (która na kilka lat przed swem zamążpójściem tam mieszkała), a odpowiedź, jeśli się nie mylę, dała mi do zrozumienia, że nigdy nie był w stolicy Wielkiej Brytanji. Mógłbym też nadmienić, że nieraz słyszałem (rzecz prosta — nie wierzyłem wieściom tak nieprawdopodobnym) jakoby ten, o kim mówię, był zarówno z urodzenia jak z wychowania — Anglikiem.

„Jest tu jeden obraz“, rzekł on, nie widząc, że zauważyłem tragedję — „jest tu jeszcze obraz, którego pan nie zna“. I, odrzuciwszy jedną kotarę, odsłonił portret Markizy Aphrodite naturalnej wielkości.

Sztuka ludzka nie mogłaby stworzyć nic lepszego, gdyby chodziło o utrwalenie rysów jej nadludzkiej piękności. Ta sama, co nocy zeszłej na stopniach pałacu Dożów postać zwiewna — znów zjawiła się przedemną. Lecz w wyrazie twarzy, opromienionej światłem uśmiechów krył się (o, anomaljo niewytłomaczalna!) ten nalot smutku, który zawsze z pięknem skończonem się łączy. Prawa jej ręka leżała na piersi. Lewa wskazywała w dół, na urnę dziwaczną. Maleńka noga nieziemska, jedyna, którą oko widziało, ledwie dotykała ziemi, a w powietrzu, opływającem jej piękność i jakgdyby zamykającem ją w świątyni, jaśniały dwa—zda się w wyobraźni widziane—skrzydła o subtelności zupełnie skończonej. Wzrok mój z obrazu, przeszedł na twarz przyjaciela, i mocne słowa z „Bussy d'Ambois“ Chapman'a bezwiednie padły mi na usta:

„ ... stoi
niby posąg rzymski! I stać tak będzie
dopóki śmierć go w marmur nie zamieni!“

„Pójdź!“ — rzekł mi w końcu, podchodząc do pięknie emaljowanego stołu z masywnego srebra, na którym stało kilka puharów fantastycznie kolorowanych i dwie wazy etruskie, tak niezwykłe, jak ta, co znajdowała się na pierwszym planie na portrecie, a wszystko napełnione winem, zdaje się Johannisberg'skiem. „Pójdź!“ rzekł urywanie — „pijmy! Jeszcze wcześnie — lecz pijmy. Jeszcze za wcześnie“ — mówił dalej zamyślony, gdy tymczasem cherubin ciężkim złotym młotem wydzwaniał w komnacie pierwszą godzinę po wschodzie słońca — „jest jeszcze za wcześnie, lecz cóż to nas obchodzi? Pijmy! Przelejmy w ofierze dalekiemu,

uroczystemu słońcu, nad którem te lampy i kadzielnice tak zazdrośnie starają się odnieść zwycięstwo.“ I, trąciwszy się ze mną kubkiem nalanym po brzegi, wypił jeden po drugim kilka kielichów wina. „Śnić...“ ciągnął dalej, wpadając w dawny ton bezładnej rozmowy i stawiając przed jasnem światłem kadzielnicy jedną ze wspaniałych waz — „śnić — było jedynem zajęciem mego życia. I dlatego stworzyłem, jak pan widzi, wykołysane królestwo snów. Czyż mógłbym stworzyć coś piękniejszego w sercu Wenecji? Zgoda— widzi pan przed sobą jaskrawe pomieszanie architektonicznych ozdób; nieskalana czystość Jonji obrażona jest przedpotopowymi pomysłami, a sfinksy egipskie rozłożone są na kobiercach złotem tkanych. Lecz wrażenia zdają się nie do połączenia tylko dla trwożliwego. Odróżniające właściwości miejsca, a szczególnie czasu odstraszają ludzi od rozpatrywania wspaniałości. Przedtem sam byłem dekoratorem przyzwoitym, lecz szaleństwo wytworności opadło mą duszę. Wszystko to jaknajlepiej łączy się teraz z zamiarem moim. Jak te arabeskami pokryte kadzielnice, duch mój zwiewny, pokryty jest płomieniem, a szał tego otoczenia przygotowuje mnie do bardziej szalonych widzeń tego kraju snów rzeczywistych, do którego szybko teraz dopływam“...

Zatrzymał się nagle, opuścił głowę na piersi i widocznie wsłuchiwał się w dźwięk, którego nie mogłem usłyszeć. Wreszcie, wyprostowawszy się, podniósł oczy i powiedział wiersz biskupa cziczester'skiego:

„Zostań! Nie zwionęć... W pewnej godzinie
Spotkasz się ze mną w cichej dolinie“.

W chwilę potem, ulegając działaniu wina, rzucił się na otomanę i wyciągnął się na niej.

W tej chwili na schodach rozległy się prędkie kroki, i ktoś głośno i spiesznie zastukał we drzwi. Pośpiesznie do drzwi podszedłem, aby uprzedzić powtórny hałas, gdy wtem do pokoju wpadł paź z domu Mentoni'ch i dysząc ciężko ze wzruszenia, głosem przerywanym wyszeptał słowa bezładne: „Moja Pani! — moja Pani — otruła się! — otruła! O, piękna, — o piękna Aphrodite! — Oszołomiony rzuciłem się ku otomanie i począłem budzić śpiącego, żeby wrócić mu przytomność dla przeraźliwej wieści. Lecz nieruchome członki jego — posiniałe wargi — oczy tak niedawno jeszcze pałające — zwarte były śmiercią. Chwiejąc się, podszedłem do stołu,—ręka moja padła na pęknięty, poczerniały kielich, — a w duszy powstała nagle świadomość całkowitej przerażającej prawdy.

EDGAR-ALLAN POE.

tłom. Gustaw Beilin.



XIĄDZ FAUST

POWIEŚĆ

III. DALSZY CIĄG MALEFICIÓW.

Tymczasem zaskrzypiały sanie na śniegu, uczuł Piotr, że ktoś mu głowę podnosi i znów zdało się, że jedzie w cichym przestworzu, słuchając miłego skrzypienia studni, zwanej żórawiem — widział, niby na obrazie Malczewskiego, dziwną kobietę o szatach spłowiałych, dawnych królewskich, która nabiera wody z cembrowiny i podaje mu.

On zaś wygnaniec sybirski—jeszcze z konfederatów—
idzie ku niej, w oczach ma łez pełno — —
coraz jaśniej, coraz większe świty —
aż łuna bije mu w oczy. —

Piotr widzi obrazy mistyczne — teraz Eloe unosi go na skrzydłach podobnych zorzy borealnej, jako Anhellego... wtem widzi idącą śmierć—w szatach indyjskich hieratycznych kapłanki, swą ręką marmurową zakrywa powieki jemu — już starcowi, jednocześnie budząc w nim wzrok na inne światy.

Rozwarł oczy:
widzi pochodnię, którą ktoś zapalił na dworze i która buchnęła w mrok nocy —
poczciwa twarz litwina w czapie Gedyminowej nachyla się nad nim — i bardzo realnie do niego mówi żandarm.

Nie zdziwił się, bo jakież mogą być mistyczne światy polskie bez tych sinych mundurów?
poznaje starego Iljicza —
nie, czy to nie za wiele podobieństwa na wizję?

Piotr przymyka oczy, starając się zmienić bieg widzeń, lecz oto dyszkant mówiącego litwina naraz zamroził mu krew w żyłach:

miłosierny Samarytanin przywiódł go do karczmy na opatrzenie!!

Piotr zerwał się z siedzenia: sanie rządowe stały przed karczmą, zaś żandarmi, wdzierając się w gęstwinę za uchem, niby eksploatorzy Afryki w tajemno-dziewicze lasy Gabunu — zmienili fizjonomie sponurzałe na słoneczną radość tego oracza, który śpiewa u Kolcowa:

„Nu, taszczysia siwka!“

— Sława Bohu, nu, i stiepiennyj że wy człowiek, pochlebiał stary Fiodor Iljicz, — sami znajetie gosudarswiennoje naczało! — mówiąc to, pomagał mu ze chłopskich wyjść.

Piotr zeszedł z twarzą tak zlodowaciałą i straszną, że nareszcie nawet Litwin coś nie coś zrozumiał, i nie czekając podziękowań, ani indagacyj, machnął konie batem i zwiał w ciemność.

Wkroczyli do karczmy. Piotr uczuł chęć rozmiażdżenia głowy o węgieł pieca; ale stary wachmistz ostrożnie, lecz silnie trzymał go pod rękę, gotów mu sekundować nawet w razie gdyby czeluść ziemna rozwarła się i miała ich obu wciągnąćw swój nurt piekielny!....

Nie puściłby go nawet na rozkaz Aniołów, mówiących doń:

— Iljicz, stary raskolnik! nu i gdzie to widziane i gdzie to pisane, żeby apostoły Jezusa szablą dzwonili? nu i poszedłby ty przed świtem na łąki zielo-

ne—na łąki duchowne—między starców wierygi noszących... —

Nie posłuchał by Iljicz!..

Trzeźwym i silnym jest umysł wielkorosjanina, nawet gdy zabrnie we wszelkie nieprzełazy bizantynizmu... I oto usadził Piotra w pokoju gościnnym na burym perkalowym twardym meblu, mogącym służyć do łamania kości w czasach bardziej szczerych, lecz w dzisiejszej cywilizacyi alegoryzującym ze strychu, wyrzuconą dworską kanapę.

Zaczął Iljicz po polsku opowiadać, idąc za biegiem swych myśli:

— A to jechał ja z takim, jak wy katorżnym przez Sibir.

Generała spotykamy, siedział na ganeczku, kurzył.

Kiwnął na więźnia, gadać z nim zaczął.

Gadali — gadali — a rozhowor zaciąga się.

— Wasze Priewoschoditielstwo, mówię, trzeba mi więźnia wieść! —

Ach ty Boże mój, jak zacznie generał rugatsia!.. klął mnie, poniewierał... Nie obyło się bez takich synów — i piekłem wiecznem gorejącem mi groził... i żełtogłazym abzywał, co zwierch wątpienia najgorsze.

— Słuszaju—powtarzam tylko, ręce po szwam...

— A wiesz ty, mówi, że może to jaki święty, którego ty — nieucz, ćma ziemi żełtogłazaja, wieziesz —

— Słuszaju — mówię. Tylko Wasze Prewoschoditielstwo pozwoli mi swej familii dowiedzieć się — zapisać ją potrzeba w książeczkę, aby donieść po naczalstwu. —

Dał mi swą familię i plunął.

I zapisałem także plunięcie to.

Jak potem zrobili z generałem, nie moja rzecz. —

Przemarzł więzień, czy tylko ze wzruszenia drżał, dość, że nie czekając jego życzeń, Iljicz huknął na żyda: — samowar! ili ja tiebia...

Niezłym, a nawet zupełnie poniekąd dobrym człowiekiem był Iljicz, bo zauważywszy, że więzień z trudem stawiał nogę, próbował mu zdjąć walonki. Piotr uczuł piekielny ból, lecz aby go nie zdradzać — rzekł, łagodnie odpychając Iljicza...

— Nic, Fiodor Iljicz, nic...

Wnet głowę położył na stole i wyć począł.

Wył, jak potępieńcy wyją, kiedy po dziesięciu miljonach lat rozwarły się bramy na wszystkie Djonizyjskie dale, z górami, gdzie szybują orły, z łąkami gdzie pędzą — ogon rozwiawszy na wiatr, kare i tarantowate centaury — —

a tu nagle z jaszczurczą ciekawością bramy się zawarły — i została na wieki nuda formuły bigockiej, tępość murów, mroku — brama z ołowiu, na której można tępić bezsilne pazury furyi...

Wył — daremno siląc się poskromić ten nieznany w sobie głos, ten głos, którego tak lękał się u innych w ciszy nocnej więzienia, głos, który znamionował zwykle pierwszy atak obłędu...

Piotr gryzł rękę pod przegubiem, aby się uspokoić. Iljicza, który chciał go podtrzymać, pchnął nagle tak, że mocny wielki żandarm z pokładzistą brodą, aż dechu nie mógł długo chwycić pod ścianą przeciwną.

Wył jeszcze, ale już chrapliwie, zębami gryźć zaczął

stół i nieokiełznany w rozpaczy, uderzeniem pięści złamał blat stołu,—zaśmiał się dziko i zerwawszy ze siebie rzemień od spodni, zaczął skręcać pętlę.

Wściekła natura tabunowca zbudziła się w nim, niewiadomo z jakiego pradziada dusza nieokiełznana. Spoglądał błędnym wzrokiem Iljicz, nie śmiąc przystąpić — taka olbrzymia fala magnetyzmu biła od więźnia!

Ale on, owijając sznur na szyi, przypadkowo wziął w rękę medalion z fotografją grobu dziada, matka mu włożyła w więzieniu ten medalion szczerozłoty, za pieniądze oszczędzone nabyty...

I zrozumiał, że to jest złota łza matki, która nie lękała się syna stracić: lękała się—żeby syn nie okazał się mniej mężnym, od innych.

W jednej chwili opamiętał się.

Wolności? i cóż—niema jej...

— Kto zwycięży — wolnym będzie, a kto umarł — wolnym już!... z dawnej piosenki napoleońskiej przyśpiewywał sobie—i dodał jeszcze słowami naigrawającemi Kondora:

— Petre, Petre, tu es Petra!..

— Dajcie samowar, Iljiczu, zawołał już zupełnie opanowanym głosem — — i nie mówmy więcej.

Rozradował się Iljicz, wybiegł — lecz przed wybiegnięciem zbadał jeszcze, czy niema wyjścia innego z pokoju.

Źle obejrzał: rozchyliła się tapeta i z pokoju, gdzie słychać było mamrotanie Talmudu, nieśmiało wysunęła się słuszna, średniej tuszy o dość zacnej twarzy żydówka—z peruką na głowie w czepcu rudym ze wstążkami fioletowemi.

Wejrzała z pokiwaniem głowy na Piotra, który siedział cicho, i tylko na zgiętej dłoni wybębniał palcami drugiej ręki coś w rodzaju tańca karłów i duchów leśnych, które opadły Peer Gynta... — Niech osoba szanowna nie boi sobie Newachowej! mnie tu w całe okolice, Bogu dziękować, nie boi się nikto. Pan jest student — a? i jeszcze nieżeniasty — ? Dzieciów też niema? musi mieć dzieciów, bo tylko za dzieciów tak się krzycy...

Kto widział, zaczęła znowu — żeby takie drogie było ze siedym mostów... Dawniej, chwalić Boga, przejeżdżało się na promach i w bród... i dobrze było... W karczmie zresztą można było wischnąć, można zjeść wieczerzę.

Teraz tyż można!

Może wielmożny socjalista ma przi sobie? trzeba ostrożność mieć i broń Boże, nie tu... mój mąż taki delikatny, wun stary je...

Może sznapsiku? ja mam takie jamajkę co to (tu zniżyła głos)

przez Ejdkun świarcowana...

Możeby dla kogo potrza jakie pismo doręczyć? tu jeden obiwatel miał też kłopot o syna... sam umarł ze zgryzotów, żona jego też martwą zostanie!... —

Usłyszawszy kroki wachmistrza, wsunęła się znowu za coś niewiadomego, co było tak brudne, że aż podobne do czarnej tapety i tak odarte, że robiło wrażenie firanki.

Wachmistrz wniósł nieszumiący jeszcze samowar. Dla pośpiechu zaczął go rozdymać butem, który widać wziął od młodszego żandarma.

Kłęby popiołu, jak z wulkanu Krakatau, napełniły powietrze, płuca i nos, lecz na szczęście nie dostały się do zamkniętych oczu Piotra.

Zresztą, nic już go nie obchodziło...

Nieraz miał zwyczaj i w więzieniu wyobrażać, że świata niema—tylko wielka Atman muszla złota wśród Nirwany—a przy każdym rozchyleniu jej konchy — mijają manwantary.

Pył opadł na ziemię, herbata zaparzona, Iljicz pokiwał głową, spróbował miękko zaalarmować Piotra, że „czaj styniet"—lecz ten był nieczuły na wszystkie majaki, które sen zakłócają Atmanowi...

Iljicz zniknął. Trwało milczenie.

Wtem Piotr ujrzawszy Newachową wysuwającą się z kandelabrem, ale już przez drzwi —

niewiadomo czemu, parsknął śmiechem.

Może to blask jedynej szabasówki w miedzianym lichtarzu, przedstawiającym węża z dwunastu głowami, czyhającemi na Ewę...

Może uroczysta mina Newachowej, która przeszła dygocąc przez izbę, gdzie już wydmuchiwali gorący czaj na spodeczkach żandarmi —

może wreszcie roześmiał się tak, jak na pogrzebie czasem śmieje się neurastenik, wstrzyknąwszy sobie za dużo morfiny—dość, że radość Piotra okazała się teraz niezupełnie na miejscu, bo Newachowa miała twarz wprost tragiczną.

Lichtarz za samowarem stawiąc, podała mu cukier i pęk obwarzanków; z za piersi wydobyła dwie gabinetowe fotografje.

— Jeden tylko syn mój—i nie żyje już! —

W głosie jej taki brzmiał tragizm, że zamiast żydowki w karczmie, była tu Niobe przed świątynią, płacząca syna, zrodzonego w uścisku z piorunowładnym...

— Wun był w Ameryce, pan musiał czytać? jego wszyscy znali.

Pisał romany i wystawiał na teater w Hicago.

Szukałam cukier i znalazłam go w komodzie.

Jak żywy! taki piękny! co? nie było takiego drugiego na cały świat!

Miał dom w Hicago i powóz miał. Tu jego żona— też jak maliowana—ona z ruskich żydów!.. —

Wejrzał Piotr jednem okiem na dystyngowaną lady obok niemiłego semity. Nadpis na fotografii wzruszył go jednak:

— To my dear mother—Mój Kochany Mami Synek Mister Sam Nevacho. —

— Co un napisał, tego wisłuchać musieli: ma być wojna, biła wojna!

Wun napisał: w Kiszyniowie biją żydków, to zaraz prezydent przijechał do Europe na okręt.

Wun tu miał także z żoną przijechać i miał nam wymurować kamieniec na 6 piętrów — tu — właśnie że tu! w Zawiliszkach...

Może podać obwarzanki? —

Wobec milczenia, oparła się o ścianę.

Samowar kipiał.

Piotr znalazł w tym dźwięku tyle rzewnej czułości, tyle pogodnego zrzędzenia, tyle zapału starców, dawnych wojowników — żc mimowoli zajrzał pod samowar i ujrzał złote serce przebłyskujące w dole przez otworki miedzi.

Wtem okropny żal za Matką własną odrętwił go. Widzi: patrzy w niego, oddzielona kratami podwójnemi, więźnie i ich rodziny przekrzyczeć się usiłują — ona milczy — i on milczał...

I tyle wypowiedzieli sobie tym strasznem milczeniem!

Ona uśmiecha się, jeszcze prawie piękna — podała mu nakoniec irysy, starając się, aby żandarm ich nie dotknął... tylko syn z jej rąk...

— Bezgranicznie droga Mamusiu, mówił do wizyi: czuję, że nie odpędzasz Ty czarnych swych myśli od mojejej, jakoby okropnej doli.

Ja cierpię tylko wtedy, gdy Wy tam, najdrożsi, szczególniej biadacie... Może to przeczuwam?

W jeden prześliczny poranek, jak mówi się w powieści, ocknę się między Wami...

I cóż, że mnie wysyłają kędyś dalej?...

Przestrzeń się powiększy, ale to nic nie znaczy, bo duszą i sercem jam zawsze z Wami:

Przecież moja najdroższa Mateczka jest wierzącą i wyznaje, że Bóg jest najsprawiedliwszą istotą... I gdy wypadnie umrzeć, nawet zdaleka od Was, to i wtedy rozpaczać nie będziemy.

Strumieniu ty, rzeko polskich łez... kiedyż ty przepłyniesz piachy i niwy — kiedyż Wisłą wezbraną wpłyniesz do morza—olbrzymią wieszczą falą runiesz na korale skał wysp Wniebowziętych—?

W radości bezmiernej swobody kiedyż zapomnisz, że tak cierpiało twe serce, przeglądając się w miedzianym samowarze w żydowskiej karczmie?!..

— Pan nie pójdzie rano obejrzeć kościół? tu jest

ksiądz uczony człowiek, ale ma trochę tu!—I uderzyła się w czoło.

— Wun zna całego ziemnego szaru... ale... jest trochę wyklęty przez swojego naczelnika, co to szedzi w Zimie. —

Za ścianą głos modlącego się talmudysty przygłuszył jej słowa.

— Mój mąż już trzeci miesiąc tak modli się za duszę syna... ja miałam sen, że syn miał jeden wielki grzech na sumieniu... że wun już nie chciał być polskim żydem, tylko się nazwał Mister Sam... —

Piotr podszedł do Newachowej, wziął ją za rękę i długo patrzył w jej biedne wypłakane oczy.

— Życzę, żeby pani go spotkała—w niebie. Polska nie jest jeszcze żebraczką, żeby trzeba odwagi przyznać się do niej — ale tu na kresach, to coś warte! moja Matka jest też sama — a ból ludzki wszędzie jednaki...

Niewachowa ocierała łzy...

— Niech pani poprosi męża, żeby przeczytał werset w Kabale o Bezalielu... który był budowniczym i chciał postawić świątynię na górze, aby zeszły się wszystkie narody. W księdze II tak zwanej Mojżesza jest o nim. —

— Wszystkie narody — rzekła Newachowa — ja to rozumiem.

Wyszła, schyliwszy głowę i kiwając tak pojętnie, jakby Bezaliel był jej synem.

IV. KTÓŻ TEN ZNÓW?

Piotr już uspokojony zupełnie, nalał herbaty i wrzuciwszy cukier, patrzył: maleńkie pęcherzyki powietrza wypływały z dna na powierzchnię. Uwolniły się z białej kamiennej niewoli—któż je teraz ujmie? wypłyną z dna na powierzchnię wolne przez drzwi otwarte, przez szpary podłej chałupy wzlecą ku obłokom—aż tam ku Ajterom Szelleja i Słowackiego gwiazdom...

Wiatr wionął, zatargał płomieniem...

Myśląc, że wszedł talmudysta z wersetem o Bezalielu, Piotr nie zwrócił głowy.

Mrok zasłaniał zresztą grubym kirem połowę izby, Gdyż oszczędna Newachowa wniósłszy szabasówkę, wyniosła lampę...

Z za samowaru mdłym blaskiem światełko jaśniło zaledwo stół ze szklanką herbaty i obwarzankami.

— Dobry wieczór wigilijny panu podróżnemu — zabrzmiał głos szczególnie mocodawczy mimo spokojnej treści...

Więzień wpatrzył się w ciemność, mając wrażenie, że tam z murów pieca wyszedł jakiś Arjanin dawny.

— Hm... ozwał się ten ktoś.

Piotr ujął lichtarz i podniósł do góry.

Ale zaraz postawił, sam natomiast powstał.

Było coś jakby ze Sądu Ostatecznego Michała Anioła w tej czaszce z głębokimi cieniami.

Na wygolonej twarzy starca świeciły ametystowe oczy, wcale nie księże, ale srogie jasnowidzące, niby u człowieka który spędził kilka zim pod biegunem, zanim go odkrył.

Twarz odpychała nadmiarem treści duchowej, wydawało się monstrualna ze swą kopułą wielką czoła i rozwianymi włosami, z cięciem przez twarz, które zmiażdżyło górny kawałek czoła i przegubie nosa, — takie lico w snach swych obchodził dokoła Rembrandt, lecz nie ujął nigdy!

Ustami szerokimi, jak u fauna, puszczał kłęby dymu z fajki.

Sutanna mocno zrudziała, okryta zwierzchu niewyprawnym kożuchem chłopskim, długim prawie do kolan.

Pod pachą dębowy kostur. Widać było, że ten człowiek nie robi sobie nic z całego świata, zawsze jest gotów — jechać w karecie poszóstnej, wybrany na papieża, czy brnąć w mazi jesiennej, między katorżnikami.

— Xiądz jestem,—wypuścił z kłębem dymu tak wielkim, jak kiedy naraz otworzą się wrota wielkiej fajczarni Padyszacha, gdzie siedzi on z czterdziestu mułłami, pogrążonymi w chmurach Najwyższej Mądrości.

— Żandarm starszy dość poczciwy człowiek. Zna mnie z dawnych jeszcze lat — puścił Pana na moją porękę, żebyśmy razem spędzili Wilię.

Oni będą czuwali w dalszym pokoju. —

Piotr stał się ciemny z purpury gniewu.

Znowu pokusa? nigdy.

— Bardzo ksiądz jest uprzejmy.

Ale wyzwolenie na godzinę jest grzecznością djabła. Wilii nie obchodzę. Nie wierzę w opatrznościowe rządy nad światem.

— Staropolski obyczaj. A i Rzymianie wierzyli, że w tym czasie zimowego nawrotu słońca przez całe brumalia bogowie chodzą po ziemi i że duchy obcują z ludźmi.

— Nie jesteśmy Rzymianie.

— Pochlebiam, że jesteśmy lepsi. Z nami są wyższe duchy.

— Uczynili księża, że duchów niema.

Powiem za Loisy'm:

— Nie mam duszy biskupa, ani kanonika! —

Ksiądz patrzył w niego jasnym wzrokiem.

Znałem między kanonikami i biskupami ludzi mężnych... umiejących czcić duszę bez względu na partje—rzekł spokojnie ksiądz.

Piotrowi wydał się ksiądz znanym — z jakiejś opowieści więziennej...

— Nie mieszkał ksiądz przed laty pięcioma w miasteczku Sędziwojewie — — gdzie zdarzyła się dziwna historja?

— Mieszkałem tam istotnie lat temu kilka... i cóż za dziwna historja?

— Wszakże mi opisywał księdza mój towarzysz...

Zanieśli go bezprzytomnego do domu — potem wezwali mu księdza, słowem ostatnie sakramenty...

— Tak...

— Policmajster i strażnicy oblegli dom...

Trzeba było z domu wynieść...

Matka mego towarzysza chciała to uczynić, ksiądz nie dałeś, bo nikogo bez rewizyi z domu nie wypuściliby...

Ksiądz wyszedłeś ze Sakramentami. Policmajster i setnicy kozaccy wobec zgromadzonego ludu nie śmieli rewidować księdza idącego z Ciałem Chrystusowem...

Między rosjanami bywają ludzie głęboko religijni...

Niekoniecznie ów policmajster... ten mógł być trzynastym na Wieczerzy... Ale setnicy zaprotestowali bezwzględnie przeciw temu, żeby go dotknąć...

Więc Xiądz jest jednym z naszych?

— Bynajmniej. Uczyniłem, jak należało, nic więcej. No proszę... Dam chleba czarnego, rzodkwi i trochę wina starego, zresztą nic. —

Piotr uczuł się znowu zmrożony wyznaniem Xiędza iż nie jest „z naszych".

Podzielił bowiem świat tylko na tych, którzy walczą za Polskę lub idą przeciw Polsce.

Ale chciał to wypowiedzieć grzecznie.

— Wina nie pijam w Polsce. Tu jest tak mało ludzi wolnych... a przecież tylko wolni z wolnymi mogą pić... —

Zaśmiał się ksiądz, ale tak, że Piotra przeszył ten ostry satyryczny śmiech.

— Ano, zatem nie będzie można rzec:

Nunc est bibendum, nunc pede ligero pulsanda tellus!..

Kucharka moja zgotuje żandarmom wieczerzę, a my na sucho ugadamy się.

— Przemilczymy.

— Jako wola.

— Nie zrobię kłopotu?

— Nie robi kłopotu, kto nie lęka się pokotu. U mnie spanie niewygodne, ja śpię sam już w trumnie.

I tak nie możesz waćpan jechać, sanie rozbite. Posłano po cieślę, jutro o świcie pojedziecie. Więc, łaskawco, idź za mną, powtarzając zcicha:

— „Czemuż nie do mej Anieli?
żeby djabli wzięli!“ —

Wziął Piotr czapkę, idąc jakby z nakazu.

Żandarmi salutowali Xiędzu, co było nadzwyczaj dziwne.

Na dworze szalała zamieć.

Po kilku minutach brnięcia wśród śniegów, zaszli w opłotki. Wiatr dziko trzaskał gałęźmi, wygwizdywał na krzyżach cmentarza. Mroczyła tu bezbrzeżna dzikość, ale jakąż muzyką zdała się wobec nudy rozpacznej, która od tylu lat zaścielała pajęczyną duszę więźnia?!

Wiatr ucichł — mur zakrył ich od wściekłych podmuchów.

Kościół w mroku majaczył; za węgłem gwizdała zamieć; gwiazdy tańczyły na niebie obłąkanego poloneza, chmury przewalały się niby lawiny śnieżne z gór.

Miejscami niebo stawało się czarne, jak wnętrze zgasłego krateru.

Zaszczekały psy jeszcze nie spuszczone z uwięzi.

Błysły jarzenia w oknach wysoko.

Potknął się o schody Piotr, idąc za Xiędzem.

Mrok i stęchlizna murów.

Po schodach krętych szli — zapałka rozświecała kurytarze klasztorne żebrowane o liniach ostrołukowych, rozpostartych niby łapy pająków, zwanych kosarzami.

Zapałki zgasły, nie było ich więcej. Ciemność zdwoiła się.

Strachem wiało od tych murów zamierzchłej przeszłości — zdaje się, że konała tu ona tak długo, aż nie zamarła już całkiem, jeno zmroczniała w świat niewidzialny.

— Kiedyś tu był klasztor Cystersów, kwitnęła nauka i sejmiki; potem mieszkało wojsko napoleońskie... potem ruina... ja odrestaurowałem, mówił Xiądz zniżonym głosem, który dziwnie brzmiał wśród brzęku żandarmskich ostróg i ciężkich stąpań.

Naoścież otwarły się drzwi, jasność powstała, wywołując silniejszy oddech serca.

— Otóż u celu. Kto się w opiekę odda Panu swemu, ten na smokach jeździć będzie.

— Raczej tego smoki same powiozą — odparł z ironią Piotr.

Tajony gniew przeciw losom świata ucichł w nim jednak. Żandarmi odeszli, rozdzieliwszy się tak, że jeden zajął izbę wchodową, drugi zaś pokój od wyjścia kuchennego. Zostawili swobodnym cały środek mieszkania.

Nie było słychać ich kroków, grube mury oddzieliły ich—i Piotr wchłaniał w siebie widok tych nadzwyczajności, które mówiły doń, niby kazanie Skargi.

(d. c. n.)

TADEUSZ MICIŃSKI.



CZARODZIEJKA
ZYGMUNT KAMIŃSKI

SONETY

W DZIEŃ, SZARY BEZNADZIEJNIE

W dzień, szary beznadziejnie, kiedy żal wybladły
Z żebraczem się natręctwem do duszy nam wciska,
Bezlistne widma olszyn w drodze mnie opadły,
Z czarnego nad potokiem zwlókłszy się urwiska.

Oddawnam ja obyty z takiemi widziadły
I wiem, jak je pocieszać — że wiosna już blizka,
Po grudzie słonecznemi przejedzie się radły,
Zagony rozzieleni, łąki i bagniska.

I dla was, tak im szepnę — nie będzie w dobroci
Niehojna: liść wam wróci i ciepłem ozłoci.
Lecz one poczną skomleć, że zbyt jest żałosna

Ich dola, bo je zcicha czerw uwiądu toczy. —
I potem, jakby z zemsty, spojrzawszy mi w oczy,
Syknęły: A i tobie nie pomoże wiosna!

O SOBIE ŻEM CI NIGDY NIE DAŁ ANI ZNAKU...

O sobie żem ci nigdy nie dał ani znaku?
Żem słowa ci nie posłał albo listka róży,
Co sercom, nie lubiącym słów, wymownie służy
Za woń i słodycz zwierzeń?... Ty przelotny ptaku,

Rzuciłeś mi swe pióro między chwilę burzy,
A jaśnię niespodzianą na obłędnym szlaku
Otuchy!... Jam je podniósł, ale nim na krzaku
Głogowym kwiat zapłonął, uczułem, jak duży

Jest przedział między twoją pewnością, a mojem
Wahaniem. Cóż się wahać? Tak! Lecz niepokojem
Znaczone kroki ludzkie i kłamem jest wiara...

Dziś—wiem! Za późno dla nas! W pewność się wahanie
Zmieniło, gdy me słowo traci dźwięk, jak stara,
Rdzą zżarta miedź, a róże zwiędły na mym łanie.

JAN KASPROWICZ.

OCZY 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐
卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐 卐

Gdy patrząc, podchodzę mocnymi krokami
do ludzi, wiem dobrze: coś wspólne się mota.
Zaglądam badawczo chciwemi oczami
w głąb — w otchłań tajemną żywota.

I widzę tam słowa na zawsze zdławione,
zabójstwa, spowite w złowrogie milczenia,
lawiny, urwiska, obłoki spłonione —
szalonej duszy pragnienia.

Spostrzegam, pamiętam, ukradkiem dygoczę,
wiem dobrze, skąd burzy naciągną błyskania —
I kiedy drugiemu zaglądam w głąb oczu,
on oczy powieką przesłania.

K. D. BALMONT.

tłom. Jan Rundbaken.



EROTYK

— Więdnącego zmierzchu kwitły nam niuanse —
I okwiat indygowy rozsypał się wkrąg,
by grane pieszczotami tęsknych rąk
romanse
skłócić w ekstazy gong —

— Allegro symfonji — — —
. . . .

Niespodziewany pejzaż w ramy snu ujęty:
Na lazurowej toni
pełzają ognie jak wężowe skręty,
cyprysy tęsknot — widzisz? —
czarnymi mienią się djamenty — —
Gdy na tle ziemi — nizko —
lśni skroś oddali mrok
wilgotny klomb lewkonji — widzisz? —
— Niespodziewane widowisko — —
. . . .

Spokojny w bezmiar wzrok
a piorunowe skrzydła?
krąg promienistszy wzwyż,
w wir, w blasków huragany?...
. . . .

— Na białe klombu łono
paść (zdradne sidła:
usta mi ogniem płoną)
— Otulić skrzydeł mrokiem

matowe kwiaty,
nim aksamitnej nocy aromaty
świt spłoszy —
— I rosę pić...

. . . .

— Idzie płomieni chmurą,
rwie się potokiem
pieśń rozkoszy:
Już tryska krwi purpurą
pierś — pała —
Pożar białego ciała.
— O, huragany pragnień — —
Wichrowych tchnień kurzawa
dyszy: upiorna. Rośnie: krwawa — — —

. . . .

. . . .

Wionął-li nagle chłód w nas macoszy
z niemieszkanych sal?
Czy pianą pęd pokrytych fal potoku? — — —

— W błysk zimny zbrojna świtu stal
wtopiła się w ciało aksamitne mroku.

. . . .

Rozkwitały stalowe, białe dnia niuanse.

HENRYK JUSZKIEWICZ.

MNICH

I

Ascezą stłumił w sobie to, co było wrzeniem;
Krew uciszył, która mu paliła tętnice;
Lwi głód wrażeń, młodzieńczą do życia tęsknicę
Stargał w sobie, pogwałcił i wyrwał z korzeniem.

Nie nęcą go po gajach wiosenne amory;
Z zachwytem nie zagląda w tonie żeńskich źrenic;
Wdrożył ciało do postów i twardych włosienic,
I na ustach ma zbladłych szept: memento mori!

Niech świat uderza falą w mur klasztorny szumnie:
Tu zbawienna jest cisza taka, jakby... w trumnie.

Niech tam ziemia od grzechów pali się gorąca:
Tu spokój, tu jest dusza taka chłodna, mrąca;

Nie łaknie już niczego, ogniem żądz nie gorze,
W czystości, i w ubóstwie żyjąc, i w pokorze.

II

Ranna msza cicha. Frate, schylony nad mszałem,
Oremus wyczytuje w foliale zwietrzałym.
Madonna nań spogląda z ołtarzowej niszy
(Angelico Fra pinxit). Oto eden mniszy.

Refektarz. Stołów szereg. Jedzenie i picie.
O świętych czyta życiu lektor przy pulpicie:
Męczennik żył gdzie który, i jak, i co wyrzekł...
Apetyczny szczęk dzwoni o talerze łyżek.

Eden mniszy wieczorem. W giardino mnich kroczy,
Tam wśród cyprysów duma, zanim noc je zmroczy;

Aromatem oddycha kwiatów wirydarza;
Myśli o Stwórcy, który życiem nas obdarza...

O Ty — westchnął — o Boże wszechpotężny, jeden,
Rex regum! Dziękuję ci, żeś dał ten mi eden!

III

Ach, dziewczyna mi los swój oddawała w ręce —
Anielstwo duszy, ciało niewinne, dziewczęce;
Ambrę włosów, jak słońce złotych... Skarb ten czciłem!
Alem go precz odrzucił, zdeptałem, wzgardziłem!

Wróg na mnie swej zawiści tchnął śmietnicznym pyłem
Zelżył mię, a ja krzywdy tej nie odemściłem;
Nie wydarłem mu życia, krwi'm zeń nie utoczył:
Darowałem... Mój ból się w rozkosz przeistoczył.

I porzuciłem wszystkie doczesności świata.
Związuje mię poczwórna zakonna objata:

Ślub czystości, ubóstwa, postu i pokory.
Tarczą mi jest od pokus szept: memento mori!

Żyję biedny, i czysty, i korny, jak jagnię,
I już niczego więcej dusza ma nie pragnie.

IV

O wy, którzy swój żywot marnujecie, świeccy,
Niema, niema nad klasztor ten słodszej dolcezz'y.
On jest w życiowem morzu niewzruszona skała:
Wejdź, duszo, tu w tych murach nie będziesz płakała.

Tu niebieska szczęśliwość kładzie się na czele;
Tu smutne są jedynie organów piszczele;
Tu cię rozweselają rzeźbione krużganki:
Tu chroń się od światowej doli — od poganki.

Na świecie bólu pełne przechodzisz koleje,
A tu sam tylko Chrystus na krzyżu boleje.

Tam musisz w trudzie wznosić swój życiowy szaniec:
Tu, bez troski, odmawiasz spokojnie różaniec.

Tu, w ozdobnej przez Łukę della Robbia stalli
Siedząc, śpiewasz pieśń, jako Jezusa chłostali.

V

Żadna mi rzecz pilniejsza nie jest, bliższa, świętsza,
Od mojej cichej duszy tajemnego wnętrza.
Jestem jak posąg: oczy'm zamknął murem powiek,
I tylko jest mi ważny ten — wewnętrzny człowiek.

Gdy w świat spojrzę: w kres moje uderzają oczy;
Gdy w siebie: wszystko życie w bezkres się jednoczy.
Tylko tak mogę pojąć boskość nieskończenie,
I to jest najprawdziwsze Pana Boga czczenie.

Zaświatów boskich szukam w własnej swojej głębi.
Zewnętrzność niech się sobie tam, ile chce, kłębi.

Nie obchodzi mnie żadna ludzka tam katusza.
Przedmiotem moich myśli — moja własna dusza:

Odgrodzona od świata przez klauzurę celi,
Raduje się spokojem i ciszą weseli.

VI

W ogrójczyku, przy celi brata Benvenuta,
Jest Venus, zielonością bluszczową osnuta.
Dziś do klasztoru wiosna, w całym swoim szale,
Wpadła, że brat się myli i myli przy mszale.

Gdy za murem piosenka brzmi namiętna, włoska,
Miłośnie się na siebie patrzą z głoską głoska.
Najwidoczniej przez jakieś opętanie czarcie,
Litery, jak pijane, kręcą się na karcie.

Atmosfera w kościele coś grzesznością wonna.
Dziwnie się dziś uśmiecha mnichowi Madonna

(Angelico Fra pinxit) i jej święte dziecko
Spoglądają na niego tak po ludzku, świecko,

Że mu serce, co dawno mniemał być zabitem,
Zaczęło stukać w piersi, jak młot, pod habitem.

VII

Ametystami świeci niebios dziś powała.
Majowym dziś podmuchem zmysły wiosna łechce.
Oko patrzeć na hymny w brewiarzu nie chce.
Radosna nuta w duszy mej zawibrowała.

Afrodyty pogańskie dziś za murem święto.
Miłością, tą cielesną, która grzechy płodzi,
Oszaleli po gajach i starzy i młodzi;
Rozkosz piją, wołając: vivere memento!

Aż tu, do mojej mniszej, samotnej komory
Maj wefrunął, rozpustny wtargnął brzęk mandolin:

Odpędzić go nie zdoła szept: memento mori.
Raj się zmącił w mej duszy, tak blizkiej wyzwolin;

Aspiracye anielskie, jak zaklęte milczą.
Miłować! — krew dziś woła szalenie, opilczo!

VIII

O Chryste, któryś męki cierpiał na Golgocie!
Czemu dziś taka rozkosz w ptaszęcym świegocie?
Czemu dziś moje ciało z duszą swą bezbronną
Tak ulega pokusom? Madonno! Madonno!

Czemu dziś taka rozkosz jest w ptaszęcym głosie?
Czemu dziś włosienicy tak mi twarde włosie?
Czemu chciałbym nie mori memento powtarzać,
Jeno żyć, wrzeć, drgać, szaleć, nurzać się, wić, tarzać?...

Nie, nie! O Ty, co rządzisz światem od prawieczy,
Boże, racz mi darować ten mój bunt człowieczy.

Odpuść mi grzech, żem bluźnił — ślubom przeniewierca —
To wiosny uderzenie do mojego serca.

Oto znowu nakładam swe poczwórne pęto:
Nędzę, pokorę, czystość, post... Mori memento!

JAN LEMAŃSKI.





FANTAZJA ARCHITEKTONICZNA
OSKAR SOSNOWSKI

Z POWODU „GODÓW ŻYCIA" (A. Dygasińskiego)

Krytyka nie jest referatem szkolnym dla leniwego czytelnika, ani patentem doskonałości autora; jest ona sądem jednej wiary nad drugą, jest poematem wyjścia ponad osobowość przypadkową i wkracza w technikę Istnienia.

„Tak ja wierzę ponad siebie" mówi krytyk; „a jak ty wierzysz ponad siebie?" pyta się artysty — i oto krytyka staje się dyalogiem dusz.

„Gody Życia" Dygasińskiego nie były głośno omawiane, nie pisano ich imienia na słupach koterji literackich, a jednak domagają się odpowiedzi stanowczej, bo mówią wielkim głosem całej epoki. Też cała epoka pozytywistyczna (z jej zaletami i wadami) znalazła tu swoją syntezę uczuciową.

Inaczej zresztą wyglądał pozytywizm gdzieindziej, a inaczej u nas: tam mu nie śpiewano hymnów, nie czyniono zeń służby publicznej, ale po haśle łupu — wszystko, co do tego dojrzało, zabrało się do robienia wolnomyślnej i postępowo-narodowej karjery, a u nas bohaterowie i uczeni udawali inżynierów i popierali obce sobie życie przez „zawziątek", dla idei. Stosunkowo dopiero niedawno konsekwencje dnia wczorajszego dostały się w ręce wrogów ducha i baron de Mangro rozsiadł się na Voltairowskim fotelu.

To co się poczęło w bohaterskiej rezygnacji, w sumienności bezprzykładnej (a wprost romantycznej)

uczonych, w skromności budowniczych, którzy „stanęli do murarki“ — musiało jednak spotwornieć w konsekwencjach, bo grzechem a nie rozsądkiem jest wyrzeczenie się mocy z ducha płynącej.

Spadkobiercom testamentów Króla-Ducha, duszom twórczym inne drogi przystoją, co w liście do ks. Czartoryskiego powiedziane jest dokładnie i świadomie.

Dygasiński jednak chciał zostać pieśnią tej epoki. Szara ptaszyna, cor cordium ziemi wielkich ofiar i małych plonów, śpiewa hymn słońcu, które jest motorem bezwzględnego życia: rachunek sumienia w czas przejścia...

Przeszła też do historji epoka „szarej ziemi“ i kto wie, czy powstanie, została po niej jednak w pieśni Dygasińskiego ta czystość duchowa i uczciwość rezygnacji, której sam poeta musiał być żywym przykładem.

Choć mówi czasem, że: „jest jedno wielkie piękno po wsze czasy: pieśń, wyraz duszy szczerze czującej“ i t. d., to nie łudźmy się, niema w tem przezwyciężenia warsztatowego życia, to wytrysk chwilowej zorzy zabłąkanej w zaświat, to przelotny tryumf poezji: duch artysty łomoce się jeszcze w złych czarach sugestji klęski i ślepy stoi wobec wolności Jaźni.

Może dziś tu i owdzie popękały skorupy lodowe, że mógłby przejrzeć się w duszy twórczej zbiorowej (a nielicznej) znowu Słowacki, — „złe wczoraj“ dla większości wszakże jest dniem dzisiejszym, gdyby więc je przeżywać chciano w znaku Dygasińskiego!

To co wypracowuje się dzisiaj i co przeciwstawiam

epoce szarej ziemi, to prawy Turów Róg, który jest tajemnicą czujnego serca, a gdzie najniewinniejsze nawet nosy reporterskie nigdy się nie dostaną.

Oddawna już patrzy z uśmiechem Helion na nieuniknione starcie z bestją tryumfującą, z „Griaduszczym Chamem" o szlifowanych paznokciach, „Kainotherium" chciwej nadziei prędkiego łupu.

O takich potwornych konsekwencjach niesłychanej tortury ducha, zwanej zracjonalizowaniem zdarzeń, nie myślał Dygasiński, bo za jego czasów „żelazne prawa natury" były jeszcze apokalipsą rezygnacji, sprowadzoną z nieomylnego zachodu. Spójrzmy w te prądy.

Oszczędnie i na miarę dorobku angielskiego każe doktryna Darwinistyczna, coraz więcej skrzepów i wolniej płynie krew, rośnie świadomość opuszczenia, rozciąga się na niebie północ i palcom się jeno pomacku wierzy.

Na kresach Bohboru łupieżcy porywają śmiałych, słychać po nocach hukania Czar-Boga Puhacza.

Zrozpaczona mówi świadomość, obolały rozkazuje lęk: mrówkami jesteście, kupcie się w mrowisko, zbądźcie się Jaźni! Żelazne poczucie klęski znalazło odpowiednik w rzekomem „żelaznem prawie rozwoju", poczucie bezpieczeństwa tylko w gromadzie znajduje wyraz w teorji krwi i hodowli zwierzęcej zastosowanej do człowieka, dla którego przecie „Jest jedno wielkie piękno.... pieśń"!

Oto z czem łamie i zmaga się poeta, ślepy Homer ducha, aż w końcu każe się sam przytroczyć do grudy i drzewa. Na tym stopniu człowieczeństwa naj-

oczywistszym kapłanem jest chłop, ale także jako odwieczny wygnany Adam, w pocie czoła i rezygnacji stuporu wparty w grudę i zaplątany między korzeniami drzew, a duszą jego śpiewną, szarym ptaszkiem, ofiarą samorzutną i nie protestującą jest pieśniarz czuły i czysty, Mysikrólik.

Ale jak widzimy tu następuje rozdwojenie pomiędzy pieśnią a życiem, i świat dobra i piękna, zbudowany na przeczeniu, będzie (jak się przekonamy) światem złudzeń.

Pozornie słońcem malowane Gody Życia i pełne tchnienia leśnego są duszne w istocie i upiorne. Bo człowieczeństwem rosnącym oddycha człowiek, słońce musi mieć ze siebie, a sztuka prawdziwa z tą samą mocą truje, co i uzdrawia.

Jakże tragicznie, jak miażdżąco wygląda powrót Anioła do kniej! (Słowacki — Dygasiński, jako etapy duszy twórczej). Zostawiono mu Gody Żeru i Rui Wiosennej (prawda! i poświęcenia się dla... silniejszych), a nie wolno pytać czemu i po co mysterja żywiołu panują tak bezmyślnie, kiedy to dla nas, przecie, starożytny Lucifer przyniósł kradziony ogień!

Rodzą się i umierają, pracują i konają przy pługach, a w duszach im dźwięczy żelazny łańcuch mechanicznej Ewolucji, a nad głowami — słońce jastrzębi lub noc puhaczy. Oto czego podjął się dowieść i usprawiedliwić Dygasiński, człowiek o gołębiem sercu i czystem sumieniu.

Kiedy autor sięga myślą w istotę rzeczy i widzi, że „jaje jest godłem Życia“, przezwycięża śmierć jeno

przez zachowanie gatunku. Więc jednak „strach silniejszy jest niż miłość“, bo w nim przejawia się naturalny instynkt samozachowania jednostki. Cześć słońca? Ale to słońce ślepe, które chce „strawić ogniem dzieci swoje“; giną pod niem piękni, „aby obżartuch mógł żyć“. Świat jako laboratorjum.

„Co się poczyna w szałach miłości i upojenia, to może istnieć tylko przez walkę z całym światem“.

Jesteśmy u celu: w pogańskiem, dawnem słowie polskiem przedziera się jak pod larwą coś boleśnie martwego — Walka o byt. Materjalizacja lotności życia, jakby wstępowanie krzemionki w żywe tkanki roślinne, krzepnięcie krwi słowa i chłód pobojowiska. Nareszcie można odpocząć i obserwować, ręce założyć i stać się preparatem wobec „naukowego“ fatum.

Czasem wybłyśnie prawo ziszczania się marzeń, jako próba Przemiany, ale znów tonie w bezwładzie przystosowań. To jednak nie zadawala (wie o tem Dygasiński!), krzyczy głód Duszy (którą genialnie rozpętał znowu Przybyszewski), przeczy on wszystkim prawom małpoluda: „W takich duszach smętnych rodzą się pierwsze myśli mądrości, nastręczone przez zwątpienie“. Zwątpienie, rozumie się, w „żelazność“ i dostateczność „praw natury“. I oto nowe absurdy: zadowolenie—jako podstęp sił nieświadomych. Zachęta do pracy na szarej ziemi. Poświęcenie proste i rezygnacja, lecz czemu? Czy dlatego, że słońce nanowo „pokombinuje“ w retorcie to samo?

Tragedja agnostycyzmu, tragedja religijna bez religji to dzieło, którego podjął się Dygasiński. Są tam obrzędy rozpaczy i chóry zwierzęce, a bogowie ślepi.

Widzimy nareszcie wyraźnie skąd się wziął pesymizm poetycki ostatnich lat. Nie jak głosiły kalumnie „szakali“ myśli, nie z dusz artystów (sztuka nigdy nie bywa pesymistyczna, zaprzeczająca życie: Nietzsche), ale z posuchy duchowej otaczającego społeczeństwa.

Gdyby nie rytm, który tak szczerego artystę, jak autor „Godów“, spowiada zawsze aż do najtajniejszych zakątków duszy, pozornie można by mniemać, że słyszymy walkę Arymana z Ormuzdem. Ale rytm (bez względu na imiona i przenośnie) wykazuje na jakim planie Życia działamy. Jesteśmy oto na płaszczyźnie zastygłego przekroju: panują bodźce elementarne. W czas walki żywiołów rodzi się strach szukających schronienia i łapczywe prawo własności, powstaje konieczność uznania zapobiegliwego łupu.

Epopeja tytanicznej walki dnia i nocy, mysterjum czterech pór roku nie zolbrzymia duszy ludzkiej, bo działa (jak powtarzam) na płaszczyźnie niższej od możliwości człowieczych. Przeto odrywa się człowiek „od związku z całem życiem stworzonym“ poddany przekleństwu marzenia... nie! gorzej, bo według pojęć pozytywistycznych — przekleństwu marzycielstwa. Buntuje się Jaźń, ale z powodów na wstępie wymienionych Dygasiński uważa ją za podszept złego ducha, bo beznadzieja jego widzi tylko „olbrzyma w marzeniu, a karła w czynach“.

Budzi się jednak coraz mocniej potępione królestwo, szczególniej, że Zima nadchodzi, a wtedy trudniej żyć wrażeniowo: trzeba z samego siebie czerpać dla wytrwania do nowej wiosny.

Tu następują cudne językowo mitologiczne reminiscencje (na wzór Egipskich) rozstania się Słońca z Ziemią; kiedyś Wyspiański (i Zeromski gdzieniegdzie) przypomni je na innych zgoła planach.

Skończyły się Gody Życia, ale przechodzą w człowieka. On sprawuje święto pamięci, święto „Dziadów“, połączenia zmarłych i żywych. Zwołują się ci, którzy przez naukę powtarzań zrozumieli trwanie: „kto wspomina i kto życzy...“
Tak narodziła się praca, podstawa człowieczeństwa, wyzwolenie się z jarzma żywiołów.

Więc jako gromada jedynie wierzą w możność przezwyciężenia Zimy, jako dzieci jeszcze, które kupią się w ciemnościach koło ogniska. Młoda epoka ludzkości żyje dłonią zbiorową i tradycją: ojce pamiętali, że powracały wiosny...
„Dlatego żyjemy dzisiaj, abyśmy szczęśliwie kojarzyli piękne wczoraj naszych dziejów z jutrem cudnie zapowiedzianem!“

Pieśniarz, Mysikrólik, śpiewa przezwyciężenie śmierci. Snuje się legenda, jakoby zło było tylko środkiem, który z czasem zaginie. Ponad ziemią skalaną przez niesprawiedliwość wznosi się świat pociechy, świat ideału. Tam się tworzą wzory, które mają znów przekształcić rzeczywistość. Jest to jednak chłodny świat modeli, który u innych współwyznawców Dygasińskiego wygląda jeszcze wyraźniej, więc beznadziejniej, jako ostatnia ucieczka, zresztą zupełnie myślowa.

Czystość duchowa artysty stworzyła styl konieczny, jednolity, stąd niema w dziele nigdzie podkreśleń,

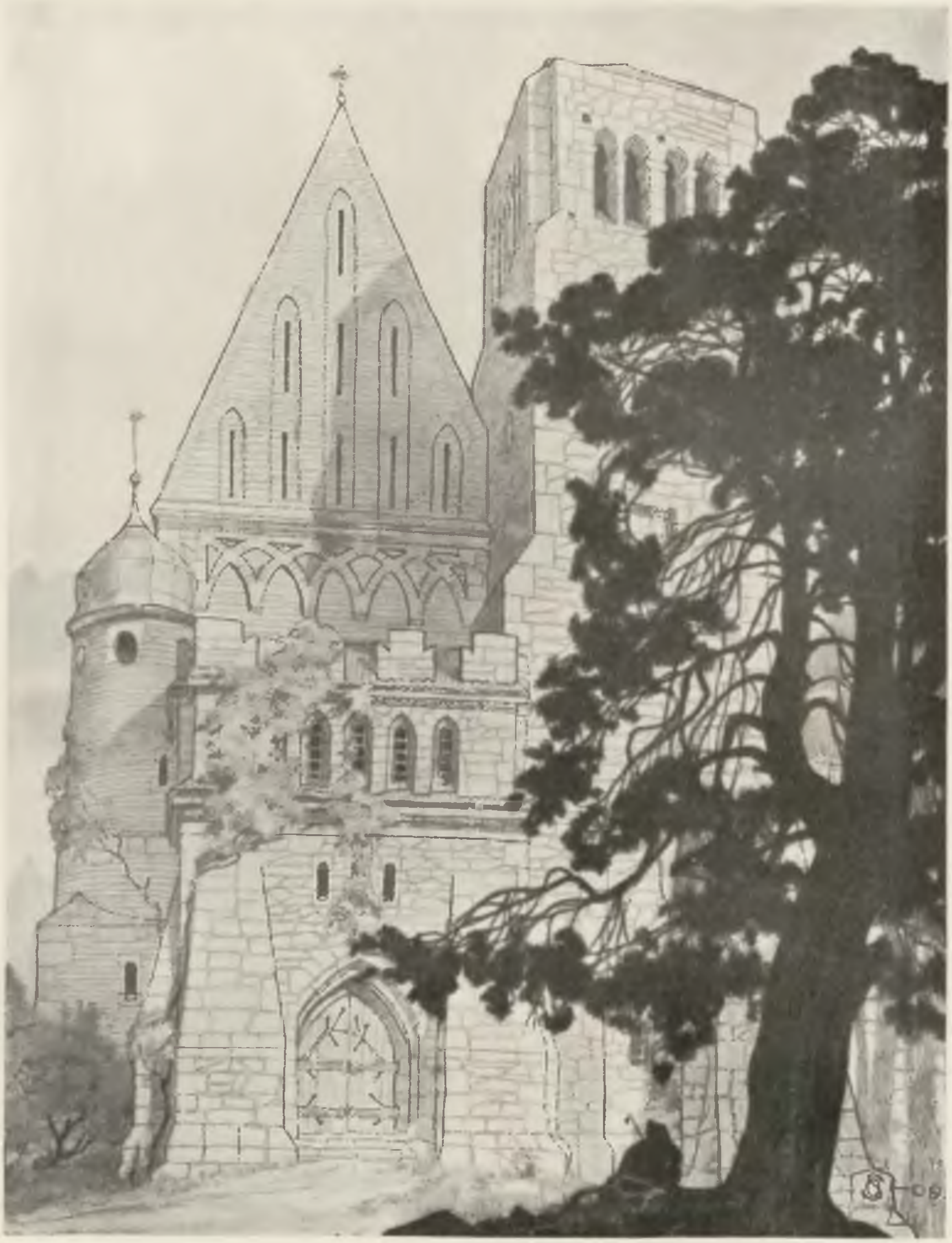
które zdradzają wysiłek. Zasłuchaniem się w siebie jest jego rytm: opowiada, narzeka, śpiewa. Przy ognisku leśnem, podczas oddaleń się od ludzi tak przemawiały do poety drzewa, zwierzęta i ziemia. W nieśpiesznym, zamyślającem się chybotaniu duszy kołysze się płomień słowa Dygasińskiego. Szczególnie charakterystyczne jest to zachłysnięcie się uczucia pod koniec zdania i machnięcie ręką: jak drwal który na odludziu osamotniał, przeto chętnie jął się rozmowy, nagle urwał, machnął ręką i znowu słychać uderzenia siekiery, albo znów oracz, który pług zatrzymał dla ugwarzenia, wreszcie zamilkł i znowu słychać jak skrzypi gruda pod nożem.

Ale właśnie ta przezroczość języka nie pozwala nam zapomnieć, że tu „pieśń religijna nie ma w sobie nic religijnego“. Świat idei, a nie ducha.

Też jedynie szczerym jest głęboki smutek, a miejscami prawie że ironja. Beznadziejne w rytmie są te „Gody“. Artystę tłumi wszędzie człowiek oddany jednoplanowej sumienności swojej epoki, którą wziął nazbyt serjo.

JAN RUNDBAKEN.





KOŚCIÓŁ

OSKAR SOSNOWSKI



FRESK W SALI TEATRALNEJ JAN REMBOWSKI



SALON MUZYCZNY H. UZIEMBŁO

O MALARSTWIE (GARŚĆ UWAG).

(Ciąg dalszy)

Nowożytny człowiek spojrzał innem okiem na naturę, zagrały mu w duszy nie śpiewane dotychczas nigdzie melodje, ocknął się z obserwacji naukowych a starał się złączyć bezpośrednio z tem co treścią życia nazwaćby można i zechciał i musiał swe stany oblekać w formę plastyczną. Stąd to szukanie nerwowe — podkreślanie najbardziej charakterystycznych szczegółów — niedokończanie, przesada proporcji, zmiana lub zupełne zaniechanie perspektywy, odrzucenie linji znanej i słodkiej. Rozwój techniki umożliwił pewne operowanie materjałem — i stworzył wiele nowego, lepiej poddającego się woli artysty. — W przeciwstawieniu do sztuki starożytnej tworzącej według pewnego ideału — szuka nowoczesny artysta w *jednostkach* boskich pierwiastków, określających ich stosunek do całości wszechbytu, tłomaczących rację ich istnienia.

Intuicja w przeciwstawieniu do analizy, — „akcja zespolenia się ducha ludzkiego z treścią świata istniejącego“, — tworzy dzieła sztuki.

Jednym z najmniej u nas zrozumianych a stanowczo najsamodzielniejszych artystów był Wojtkiewicz. Świat współczesny — przedstawił mu się jako wielkie zbiorowisko lalek i rycerzy-bohaterów na drewnianych konikach uganiających za dziecinnemi rozkoszami życia — on sam, wielki opuchły clown, rzewny na widok tych igrzysk — z gitarą w ręku gra melodję przebaczenia.

W przededniu przedwczesnej śmierci artysty, fantazja jego szybuje w dalsze jakieś nieznane nam krainy, które dawniej nazywano „Światem astralnym“... Oto Chrystus w otoczeniu tworów dziwnych, przemęczonych pragnieniem uciech nigdy niezaspokojonych — z których każde przybiera jakąś arabeskową formę i jak skrzydła ptaka o swoim rodzaju świadczy. Z początku rysunek Wojtkiewicza groteskowo przesadzający charakterystykę jednostek, pogłębia się stopniowo i dochodzi do doskonałości w wyrażaniu wizji artysty. Obrazy jego i kompozycje rysunkowe — są bezpośrednim i wizjonerskim oddaniem rzeczy wewnątrz siebie widzianych; tworzy on wszystko z siebie — bez pomocy natury — zna jednak doskonale ścieżki, któremi duch chodzi, kiedy realizuje się w materji.

Splotem powiązań linijnych odtwarza Sichulski tajnie duszy portretowanego *). Bezwzględny w docieraniu do najcharakterystyczniejszych rysów modela, odtwarza je z szczerością bez ustępstw dla upodobań tłumu. Jest sumieniem portretowanego, nie przebaczy żadnego grzechu, żadnej słabości.

Nieprzebrane skarby naszego życia czekają na swoich artystów. Najmłodsi w Europie w kulturze plastycznej nie mamy śmiałości zajrzenia wprost w ota-

---

*) Nie chcę wcale dawać tutaj sylwety artysty — oceniać krytycznie jego działalności artystycznej — wogóle nie piszę żadnych krytyk, te do innych należą. Sam będąc artystą-malarzem, spisuję tylko refleksje (w tym wypadku narzucające mi się przy oglądaniu potretu Dunikowskiego, rysowanego przez p. Sichulskiego) i bardzo proszę p. Sichulskiego ażeby mi nie wziął za złe, że niekompletnie lub może błędnie go ujmuję.

czające nas rzeczy i ludzi. A kiedy intuicja i temperament artystyczny pokona u niejednego tę „nieśmiałość“ i z pod ręki artysty wyjdzie dzieło oryginalne i pełne nowego a wiecznego życia — wtedy społeczeństwo zachowuje się względem niego wrogo — i długo artysta czekać musi zanim zdoła mocą swego dzieła przewartościować przekonania otoczenia.

Nasze społeczeństwo — skutkiem braku tradycji malarskiej i wogóle kultury plastycznej — uważa fotografję lub realistyczną ilustrację natury za jedyny sprawdzian artystyczny. Nie z pietyzmem i chęcią przeżycia wrażeń estetycznych przystępuje do utworów artystycznych, lecz z krytyką, roszczącą sobie prawa do znajomości rysunku, światłocienia i koloru. Gdyby choć okupywało te swoje pretensje żądaniem dzieł wyjątkowych, oryginalnych, odrębnych, — stosunek jego do artystów mógłby się korzystnie unormować. Przeciwnie, publiczność żąda banalności i operetkowego rozwiązywania problemów artystycznych. Sekunduje jej w tem tak zwana krytyka artystyczna najpoczytniejszych dzienników.

FRANCISZEK SIEDLECKI.



KRONIKA

ZGON STANISŁAWA BRZOZOWSKIEGO.

Umarł Stanisław Brzozowski. Trzeba napisać o nim poprostu i uczciwie i jak należy o człowieku twórczym, o jednym z tych niewielu, którym można odpowiedzieć tylko miłością albo nienawiścią.

Był on w każdym razie — z rasy „nauczycieli“, z rasy Sokratesów, „uwodzicieli młodzieży“.

A spotkaliśmy w pismach Warszawskich albo insynuacyjne wzmianki, poniżające tych, co je pisali, Piłatowskie „omycia rąk“, albo zabawny „patos do wszystkiego“ latających warszawskich „ludzi od obojga polityki i sztuki“.

Pisać o Brzozowskim, to wielka odpowiedzialność, z tego względu, że ma się tu do czynienia z wartościami szczeremi, z pędem wewnętrznym niecierpliwego wypowiedzenia nowego słowa. Czy jako artysta pisze o Norwidzie lub Czechowie, czy kiedy walczy jako trybun prawdy z tym, co najlepsze, a dla niego zbyt ubogie jeszcze, zawsze wyczuć można gorącość podjęcia kwestji, sprawę życia i śmierci.

Pojawiają się „Idee“ (wstęp do dojrzałości dziejowej), gdzie opowiada nam (u nas po raz pierwszy!) o Europie rzeczywistej, pracującej i krytycznej, a stęsknionej do bohaterstwa uczucia i myśli, o Europie wielkich umysłów, a nie bulwarów, i oto przez przysłowiowe już parafialne rogatki wpływa (za jego przyczynieniem) prąd świeży i ożywczy, a zjadliwie i z wyższością naukowo-aptekarską u nas przyjęty (z małymi wyjątkami). W dziele tem intuicyjne własne odkrycia chętnie legitymował z nazwisk zagranicznych, gdyż szło mu o wpływ, nie o ambicję.

Nieuniknione skojarzenia przypominają zawsze dawniej zmarłych i czasem Brzozowski suggestywnie nasuwa myśli o inkarnacjach jednego i tegoż samego ducha przez czasy: myślę o Mochnackim. Taż sama postawa duchowa, w ciągłych odkryciach, tak prędkich, że wrogów tworzy z wczorajszych zwolenników, i równie blizki w tempie styl myślowy ludzi, którzy mają coś do powiedzenia i wierzą w to, co piszą.

Jakieś nieszczęśliwe przeznaczenie — może odblask nieszczęścia całego kraju? — pokręciło mu drogi życiowe.

I on, który mógł być najbardziej pożądanym „uwodzicielem młodzieży“ (równie użyteczny jako wróg, czy przyjaciel), zadziwił się w pętach tragicznej wężowej tajemnicy...

Na razie „Sztuka“ ogranicza się na tej krótkiej wzmiance: zbyt ogłuszające zdarzenie.

EPILOG TRAGEDJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako mężowie zaufania ś. p. Stanisława Brzozowskiego w sądzie, zwołanym na jego żądanie w r. 1909 w sprawie oskarżenia przeciw niemu podniesionego, upraszamy o łaskawe umieszczenie następującego oświadczenia.

Urząd mężów zaufania przyjęliśmy w powyższym sądzie w głębokiem przeświadczeniu o zupełnej niewinności ś. p. Stanisława Brzozowskiego.

Po kilku posiedzeniach i przesłuchaniu całego szeregu świadków, sąd został odroczony, by umożliwić obronie zebranie dalszego materjału. Z powodu ciężkiej choroby ś. p. Stanisława Brzozowskiego, która wyjazd jego z Florencji i współudział w sądzie w Krakowie czyniła niemożliwym — dalsze posiedzenia sądu odbyć się nie mogły. Wobec śmierci ś. p. Stanisława Brzozowskiego, poczuwamy się do obowiązku oświadczenia, że dotychczasowy przebieg rozprawy sądowej nietylko nie zachwiał w nas przekonania o zupełnej niewinności ś. p. Stanisława Brzozowskiego, lecz zarazem dał nam podstawę do przypuszczenia, że autor oskarżenia, złudzony podobieństwem cech zewnętrznych, padł ofiarą omyłki, wywołanej przez trzecią osobę, która z tego podobieństwa świadomie korzystała.

Z wysokiem poważaniem

Dr. Rafał Buber
inż. Jędrzej Moraczewski.

Lwów, d. 12 maja.

Z LITERATURY POLSKIEJ.

IGNACY MATUSZEWSKI: „WEYSSENHOFF I LAURY WYSPIAŃSKIEGO“. — Nakład własny, 1911 r.

W swoim czasie dowiedzieliśmy się od jednego z „krytyków naszych“ pana Weyssenhoffa, że sława przed i pośmiertna Wyspiańskiego wysoce przeceniona została.

Dowiedzieliśmy się o fatalnym wpływie pierwiastku malarskiego na dzieła sceniczne, zostaliśmy skorygowani w błędnych pojęciach swoich o mitologji (powziętych z „Wesela“), usłyszeliśmy wreszcie o ciasnym terenie, na jakim rozgrywają się akcje utworów Wyspiańskiego i o naśladownictwie występnem u tegoż. I byłby Stani-

sław Wyspiański pogrzebanym na wieki w pamięci zbożnej publiczności, gdyby nie mała książeczka p. Ignacego Matuszewskiego, o której dosyć zresztą cicho.

Książka ta, mówiąc poważnie, — zawstydza, mówiąc obcesowo, — bezlitośnie maltretuje niefortunnego „pomniejszyciela" wielkości Wyspiańskiego. Powaga i prostota, jakie cechują jej stronice, będą bez wątpienia mniej wdzięcznym materjałem dla tych, którzy szybko i wesoło przeczytali studjum (?) p. Weyssenhoffa — nie ulega jednak wątpliwości, że ci, co ją poznają bliżej, staną się bardziej podejrzliwi i nieufni na przyszłość w stosunku do deklamacji na temat twórczości i „krytyk" à la Weyssenhoff.

WACŁAW GRUBIŃSKI: „O „KLĄTWIE" WYSPIAŃSKIEGO". Szkic analityczny. — Warszawa, 1911 r.

Pierwszy zarzut przez autora „Pocałunku" postawiony Klątwie dotyczy „skaz" w strukturze jej, jako tragedji, a drugi zarzut mówi o tem, że właściwie jedyną „skazą" Klątwy jest jej niewspółczesność. Pan Grubiński daje zarazem skuteczną radę na usunięcie tej skazy. Właściwie dwie rady: jedną skuteczną napoły, drugą — całkowicie i radykalnie. Gdyby tłum był w Klątwie nie współczesny, a równie przesądny jak ksiądz — tragedja stała by się klasyczną. Gdyby i tłum i ksiądz byli inteligentni współcześnie, — tragedja byłaby bez skazy arcydziełem, ba, arcydziełem współczesnem. Jaka szkoda, że Wyspiański nie mógł skorzystać z tych rad!

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI. „GALERJA MOICH BLIŹNICH". Nowele i fraszki. Kraków, 1911. Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

Patrząc na ludzi nie pamięta się czasami kiedy i gdzie się urodzili. Życie ich wydaje się jednakowe, poza wszelkiem piętnem odmiany jakie czas na nie położy.

I rzeczywiście ludzie są zawsze jednacy. Wiedzą, że umrą i dlatego zapominają zapewne, że się powtórzą. Gdy następni cofną się myślą wstecz, widzą cienie swoich wyobrażeń, które zasłaniają im wiedzę powtarzania się, a im samym potwierdzają legiendę o stopniowym materjalizowaniu się marzeń i tego co snem było kiedyś nazwane. Dlatego ludzie nie silą się, aby staczać zabójcze walki z tem, co się nazywa zamkniętem kołem życia. Nie rwą się poza historję, której ogon ścienia się jak tasiemiec poza nimi.

Ale są, którzy poza pospolitością wiedzą o niej. Ci stworzyli smutek jej, którego nienawidzi ona sama bezwiednie.

Takie wrażenie odebrałem po przeczytaniu książki Adama Grzymały-Siedleckiego.

Kto wie o smutku pospolitości i może o nim powiedzieć, tak jak opowiada się zwyczajną historję, jego własnym językiem, ten odrzucił

go raz na zawsze, pozbył się natręta. Jest artystą równie samotnym takiej chwili jak w chwili stwarzania świata swego z chaosu otaczającego go zewsząd.

MARJA STATTLER-JĘDRZEJEWICZOWA. „MADEJ. Z DZIEJÓW DUCHA“. (Okładkę zdobił A. Grąskiewicz. — Warszawa, 1911).

Niebezpieczna z powodu przeszłości dokonanej forma oktawy ujarzmiła już niejednego ducha. Tego uniknęła w pewnej mierze—autorka Madeja; nie dała się opanować hypnozie rytmu; poznałem to jednak po dziwnie energicznem szamotaniu się zuchwałego ducha w klasycznym pancerzu. W Madeju szczególnie uderza ta młodzieńczość (niech że mi to będzie wybaczonem!), która nazbyt ogólnymi rzutami starą się rozwiązać kwestję pokuty kontemplacyjnej, jakby żałując bezwzględności piekieł. Kończy jednak sens potrzebą czynnej satysfakcji.

„ — zbożu nieznanemu... ustąpić muszą kwiaty... duszo: czemu?“... Tak mniej więcej wygląda idea „Dziejów Ducha“.

Oto stoi człowiek przed wrotami opanowania się. Żywiołu kończącej się już epoki, bujności instynktu żałować poczyna: ubogo bowiem wyglądają plony „cichej i mądrej pracy“. Kwiaty barwne i sny szumne imponują jeszcze duszy, a oddawanie kłośnego ziarna „pod młyńskie koło“ wygląda pozornie na poddanie się. Ale zaczyna rozumieć dojrzewający duch, że najmocniejszy ten, kto jak „Zwycięzca“ Staffa sam siebie zwycięży. Bunt jednak wybucha, żałuje się pozornie utraconej wolności, która jednak jest tylko dowolnością. Po tem wnijściu kiedyś zaczną się istotne „Dzieje Ducha“.

Język odbija w sobie to szamotanie się, nosi piętno zbyt niecierpliwych i prędkich przeżywań, będąc jednocześnie szczerym. Poematy powyższe znamionują skłonności do eposu (w formie postrzegania rzeczy).

„NOWELE O MIŁOŚCI“ — EDGARA ALLANA POE'GO.

W niniejszym zeszycie podajemy jedną z najpiękniejszych i najmniej znanych nowel Edgara Allana Poe'go. Zupełne zatarcie granicy pomiędzy snem a jawą, marzeniem a rzeczywistością, zapatrzenie się w uczucia wielkie, niezniszczalne, idące poza grób — słowem wszystko to, co cechuje amerykańskiego pisarza znajduje wyraz swój w „Assignation“. Nowelę tę wyjmujemy z mającego się wkrótce ukazać tomu pism Poe'go p. t. „Nowele o miłości“ w wyborze i przekładzie Gustawa Beilina, z ilustracjami Witolda Gordona z Paryża.

Przekład dokonany został z angielskiego oryginału z uwzględnieniem francuskiego tłomaczenia Baudelaire'a, rosyjskiego Balmonta i innych.

BIBLIOGRAFJA.

ADOLF DYGASIŃSKI. „Gody życia". Opowieść. Wydanie drugie, ozdobione (?) ilustracjami Antoniego Gawińskiego. Wyd. M. Arcta w Warszawie. 1910 r.

APULEIUS. „Amor i Psyche". Przekład L. Rydla, Kraków, 1911. S. A. Krzyżanowski. Ilustracje z fresków Rafaela. Ozdoby drukarskie z grotesków według „Loggie di Rafaele nel Vaticano", sztychowane w XVIII w. Okładka rysunku Antoniego S. Procajłowicza.

HELENA BEATUS. „Sycylja (Segesta i Selinunte)". Studjum archeologiczno-artystyczne. Warszawa, 1911.

B. S. HERBACZEWSKI. Zadumy. I. Księga dusz cichych. Okładka pomysłu W. Krassowskiego. Nakład księgarni Kazimierza Idzikowskiego. Warszawa, 1911.

EDWARD SŁOŃSKI. Wybór poezji. Okładkę rysował Edward Trojanowski. Ozdoby w tekście podług drzeworytów japońskich Shumboku (r. 1715) Inouma Yokusaï (r. 1856), Hokousaï, Ooka, Oumpô i Sikiuè Ountel (r. 1829), Korin (r. 1864), Yoshimora Kastoumasa i Tatibana Yasakuni d'Osaka (r. 1755). Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

LEON CHOROMAŃSKI. „Zuzanna". Nowele. Warszawa, 1911.

JAN LORENTOWICZ. „Nowa Francja literacka". Wrażenia i portrety. Nakład Wł. Okręta. Warszawa, 1911.

MIECZYSŁAW SMOLARSKI. Pieśni i śpiewy rycerskie. Kraków. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1910.

ADOLF NOWACZYŃSKI. „Meandry". Warszawa, 1911.

„U wrót życia". Książka maturzystów szkoły Chrzanowskiego. Warszawa, 1911.

„Statut Towarzystwa Artystów Polskich w Paryżu". Paryż, 1911. Drukarnia A. Reiffa—S. Heymanna (3, rue du Four).

Z TEATRU.

W ROZMAITOŚCIACH panuje niepodzielnie szablon i rutyna, nie widać najmniejszego wysiłku w kierunku odmłodzenia sztuki scenicznej, a z poetami obchodzi się za pan brat. Pod pewnym względem stanowi wyjątek p. Kamiński jako reżyser, który mimo braku twórczości i inwencji w tym kierunku, nie dopuści nigdy do wprost rażących uchybień, a sztuki przezeń reżyserowane, chociaż nie stanowią ważnego dorobku artystycznego w dziedzinie sztuki scenicznej, są

jednak doskonale w „rutynie akademickiej“ wystawione. Że jednak „rutyna akademicka" nie wystarcza dla zrealizowania Sztuki na scenie, dowodem tego „Kupiec wenecki".

Punktem wyjścia w reżyserji „Kupca weneckiego" winien być, na pozór niepotrzebny, akt V. Akt — objaśniający stanowisko autora do sztuki, akt harmonji, ciszy ciepłej nocy księżycowej. Szekspir nie przejmuje sie wcale dramatem Shyloka, nie robi z niego tragicznej postaci, lecz opozycję komiczną, istniejącą dla poznania szlachetności ludzkiej natury, harmonji wszystko ogarniającej i wszystko przezwyciężającej. A opisuje te fantazyjne lecz prawdziwe artystycznie dzieje jako widz. Stosunek bowiem Szekspira do swoich dzieł jest dwojaki — albo jak promieniujący rad jest on źródłem promieni, które załamują się w dramat (Burza) — albo jest zwierciadłem oświetlonych przez słońce wypadków i z tych odbitych promieni tworzy dopiero sztukę (Kupiec wenecki). Uwydatnienie przez sztukę sceniczną tego stosunku dramatu do autora, może widza wprowadzić w prawdziwy stan entuzjazmu dionizyjskiego, pozwalającego na istotne przeżycie dziejów biegnących przez scenę.

Jednem z wielu rozwiązań tego byłoby np. przedstawić „Kupca weneckiego" tak, jakgdyby widz patrzył na jakieś stare sztychy lub akwaforty Rembrandta, więc przez całą sztukę przeprowadzić jeden ton złotawo-czarny we wszystkich kostjumach i dekoracjach z zupełnem pominięciem cech realistycznych pejzażu i grę wszystkich tak przyciszoną jak Kamińskiego.

Dramaty naszych i obcych poetów grywane na warszawskiej scenie wymagają rewizji reżyserskiej, odtworzenia od nowa przez twórczego reżysera. Takiego niestety teatr Rozmaitości nie posiada. Dobrze więc i mądrze, że kierownik literacki p. Kotarbiński świadomy tego braku, ogranicza się w repertuarze do sztuk błahych lub dramatów codziennego życia mieszczańskiego i pomny na fiasko jakie w początkach tego sezonu zrobiono ze „Snem srebrnym Salomei", nie hazarduje wielkiej poezji na scenie.

TEATR „ARTYSTYCZNY“. Tak zmieniono nazwę Teatru Małego, gdy z dniem 14 maja dyrekcja tego teatru przeszła w ręce poetów: B. Leśmiana i K. Wroczyńskiego oraz art. dram. J. Orlińskiego — z trzęsącej się dłoni „dziadka komedji polskiej“ pana K. Zalewskiego.

Na pierwszy ogień poszła komedja Grabbego, na polski przez Berenta tłomaczona godnie, p. t. „Żart, satyra, ironja i głębsze znaczenie“. P. Leśmian znany poeta, a reżyser tej sztuki, udowodnił, że nawet skromnemi środkami można osiągnąć artystyczny sukces, że myśl twórcza reżysera najmniej „scenicznej“ sztuce zdolna jest nadać kształt oryginalnych obrazów scenicznych mimo trudności warunków, jak: niewielkie rozmiary sceny, brak odpowiednich urządzeń do oświetlenia i dość surowy materjał aktorski.

P. Leśmian snadnie trafił we właściwy ton groteskowo-marjonetkowy i starał się go konsekwentnie przeprowadzić. Zadanie to nadzwyczaj trudne o tyle się udało, o ile entuzjazm z jakim aktorzy przystąpili do wykonania przemógł ich rutynę realistyczną i pomógł do wytworzenia gestu marjonetkowo-mechanicznego. Najlepiej pod tym względem wypadły scena z uczonymi znajdującymi zmarzniętego djabła, gdzie osiągnięto jednolity zbiorowy gest i scena z krawczykami, gdzie znów treść akcji tłomaczył gest rytmiczny odpowiadający dźwiękom muzycznym.

Straciła na wyrazistości scena w pałacu z djabłem, uwydatniająca jego sympatje do ognia w kominku. Trudność sytuacji rozwiązano przez zasłonięcie kominka parawanem, zamiast zrobić wielki komin renesansowy na wysokość człowieka, w którym mógłby się djabeł zupełnie swobodnie poruszać i wygrzewać. Kominek taki lepiej by charakteryzował wnętrze pałacu niż szlak złoty i witraż. Zupełnie słusznie przyjęto jako zasadę prostotę dekoracji i „znak" dekoracyjny, zamiast całości, i gdyby jeszcze śmielej operowano kolorami i światłem — możnaby było zadowolnić dzisiejsze wymagania wykształconego malarsko widza.

Z MUZYKI.

PO SKOŃCZONYM SEZONIE MUZYCZNYM.

Ruch koncertowyześrodkował się w sali Filharmonji. Członkowie orkiestry, koncertujący na własne ryzyko, musieli myśleć o oszczędnościach, starali się jednak w zakresie swoich środków, o produkcję jak najgłębiej artystyczną. Oddali więc kierownictwo w rękę muzyka z talentem pierwszorzędnym i wykształceniem rzadkiem. Dyr. Fitelberg, ożywiony szczerym zapałem, pracowity niezmiernie, obejmujący z łatwością stosy partytur, szedł zawsze w imię haseł najnowszych. Pod jego kierunkiem przesunęły się jednak przed słuchaczami nie same Straussy, Mahlery i t. p., ale ze czcią należną traktowani mistrze starzy: Bach, Händl, a Beethoven nawet w swych wszystkich symfonjach. Muzyce polskiej oddano usługi powinne. Słyszeliśmy w tym sezonie zakwitłe świeżym kwiatem na niwie muzycznej, u nas dotąd tak nie uprawianej i bezpłodnej, symfonje: Stojowskiego (z przytoczonych najdawniejsza), Ignacego Paderewskiego, E. Młynarskiego, Karola Szymanowskiego. Obok Fitelberga zasłużył się Henryk Melcer wystawieniem „Requiem" Mozarta i „dziewiątej" Beethovena. Mieliśmy i gościnne występy dyrygentów jak: Młynarski, Safonow, wirtuozów jak: Ysaye, Pugno i in.; z kompozytorów obcych produkował swe dzieła Rachmaninow. Świat pedagogiczny miał sposobność podziwiania niezwyczajnych rezultatów pracy Dalcroze'a, który je w dwóch konferencjach publiczności war-

szawskiej przedstawił. Możemy wreszcie w tym sezonie zapisać ku pamięci rzadkie zjawisko: koncert kompozytorski Henryka Opieńskiego.

W stronę opery zwraca się oko ze smutkiem. Tu jeszcze nie uregulowano wielu rzeczy, co błędem ciążą na scenie warszawskiej od lat bardzo dawnych. Nowości poważnie artystycznych w tym sezonie nie było. Za taką nikt nie uważa sztuki kasowej „Quo vadis“, ani też opery D'Alberta „Niziny“. „Śpiewaków norymberskich“ fatalnie zepsuł kapelmistrz włoski p. Cimini, który jest stworzony do dyrygowania wyłącznie „Violettami“, „Rigolettami“ i t. p. Nie zanosi się na prędką poprawę tych stosunków, niechby przynajmniej powolna mogła być widoczną.

Z MALARSTWA.

WYSTAWA OBRAZÓW PROF. PANKIEWICZA.

Zasklepienie się w studjach akademickich doprowadziło plastyków połowy zeszłego wieku do bezmyślnego kopjowania natury; należało więc zrzucić z siebie pęta akademizmu i iść własną drogą. Pojawia się impresjonizm. Kierunek ten, polegający na notowaniu bezpośrednich wrażeń — zapoczątkowany przez Maneta i Moneta, a przez Pisarro związany z tendencjami milletowskiej kompozycji, wprowadza wartości, które stają się integralną częścią twórczych wysiłków Van Gogha, Cezanne'a i Gauguina.

Van Gogh poszedł drogą wskazaną mu przez jego mistrzów narodowych — holendrów, gdy Cezanne, zwracając się do tradycji sztuki weneckiej (głównie Tintoretta), dąży do wielkich form (operowanie wielkiemi bryłami, syntetyczne ujmowanie natury), oraz wprowadza zaniedbane zagadnienia kompozycji t. j. wiązania ornamentem wszystkiego co mieści się w obrazie.

Gauguin idzie jeszcze dalej; nie wystarcza mu już znajomość kultury Południa i Wschodu, sięga więc do „prymitywów“ ludów pierwotnych, aby tym silniej odczuć co jest pustym wirtuozostwem, a co przejawem prawdziwej, szczerej sztuki.

Dążenia te rozwijane są dalej przez tak ciekawych przedstawicieli malarstwa współczesnego jak: Besnard, Picasso, Henri-Matisse, Van Dongen, Friesz i t. d. Poszukiwanie syntetycznych form i czystych barw, dekoracyjność i prostota w wypowiadaniu swych wrażeń, oto są hasła najmłodszej sztuki francuskiej.

Wysoce kulturalna i wrażliwa organizacja artystyczna prof. Pankiewicza, szukająca wiecznie nowej, a doskonalszej prawdy, nie mogła przejść obojętnie wobec tych dążeń. Stąd cały jego nowszy dorobek artystyczny nosi na sobie piętno sztuki francuskiej ostatniej doby.

Lecz nie martwe naśladownictwo, ale wczucie się i przejęcie dążeniami wielkich twórców francuskich bije z tych obrazów, które pokryły ściany bocznej sali Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

A choć w niektórych obrazach razi nas pewien brak harmonji, bądź na skutek „wyrywania się“ niektórych barw (makata w „Kamelji"), bądź „zapadania się“ innych (brudnawy ton w szarzyznach: „Butelki“, „Japonki“ i t. d.), — choć w portrecie Jasieńskiego, realistycznie ciekawym, brak kompozycji, wiążącej wszystkie części obrazu w jedną całość, przez co dzieło robi wrażenie przypadkowo złączonych fragmentów, — tym niemniej wprost do arcydzieł zaliczyć można: niezatytułowane Pejzaże, i takie obrazy jak: „Gwoździki czerwone“, „Melon i arbuzy“, „Arbuz“, a przedewszystkiem „Wazon perski“ i „Melon".

WYSTAWA POŚMIERTNA DZIEŁ FR. ŻMURKI.

Pierwsze obrazy Fr. Żmurki i szkice świadczą o jego dużym talencie, który rozwijając się normalnie, mógłby go był doprowadzić do stanowiska, jakie w malarstwie belgijskim zajmuje Stevens, malarz-poeta wnętrza mieszczańskiego, — „kobiety u siebie w domu“. Sprowadziło go z drogi, obniżyło własną jego poezję hołdowanie środowisku, a sztuka jego staje się widmem gminnych instyktów otoczenia.

Przy końcu życia duma jego artystyczna znów się pręży i widać usiłowania pogłębienia przedmiotu, treść jego obrazów stanowiących. Słodko-lubieżna kobieta usiłuje być dumną; niestety zadługo była w otoczeniu pożądających kupczyków — więc nikt jej wyrazowi nie wierzy. W ostatnim autoportrecie, szkicowanym, znać wielką troskę w twarzy artysty — troskę świadczącą o poznaniu i oddaniu powagi życia — i oto jesteśmy smutni, że nagle przecięty żywot nie pozwolił artyście w tym kierunku dalej tworzyć.

ZE SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZTATY ARTYSTYCZNE.

Do rozwoju sztuki stosowanej zagranicą przyczyniły się w znacznej mierze zakładane przez artystów t. zw. warsztaty artystyczne (wiener werkstätte, münchener werkstätte), w których pod nadzorem i nawet przy bezpośrednim udziale artystów, wykonywane są według oryginalnych projektów różne wyroby z zakresu sztuki stosowanej (więc meble, dywany, wazony, lampy, bronzy). U nas głucho było pod tym względem, dopiero niedawno powstało w Zakopanem towarzystwo „Kilim“ wyrabiające przy współudziale artystów (Dworskiego, Skotnickiego, Brzozowskiego i innych) dywany o nawskroś swojskim i oryginalnym charakterze. Dowiadujemy się ró-

wnież, że dzięki dobrej woli i poparciu p. Henryka Grohmana powstaje w Zakopanem warsztat garncarstwa artystycznego.

SANATORJUM W ZAKOPANEM.

Bezprzykładne w Polsce, a nawet w Europie niestety rzadko spotykane, bo według rysunku i przy udziale pierwszorzędnych sił artystycznych skomponowane urządzenie posiada Sanatorjum dla chorych piersiowych D-ra K. Dłuskiego w Zakopanem. Opis zamieszczonych w dziale „sztuki stosowanej" niniejszego numeru reprodukcji 2-ch ciekawszych fragmentów wnętrza Sanatorjum, przytaczamy poniżej:

Sala Rembowskiego — teatralna — kolor szaro-niebieski ścian, linoleum podłogi, pokrycia mebli i kurtyny. Drzewo mebli — dąb koloru naturalnego z szaro-niebieskiemi inkrustacjami. Odrzwia takież. Lampy, ozdoby metalowe drzwi — z bronzu. Dekoracje ścienne - w tonach niebieskich i zielonkawych ze złoceniami — stylizowane pawie pióra w klamrach. Kominek — kafelki mieniące, niebieskozielonawe — kraty z bronzu. Witraż przedstawia wieszczkę Tatr — w kolorach jasnych, górna część okien (też witrażowa)— przelatujące ku scenie dzikie kaczki w opalowych mieniących się barwach. Freski — dzieci i górale — trzymane są w tonach jasno-niebieskawych matowych. Całość jest b. harmonijna i daje oku niezmiernie uspokajające wrażenie. Kwiaty w pięknych nieb.-zielonych wazonach wyrobu Jagmina. Salon Uziembły—muzyczny — meble białe lakierowane, pokrycie gorąco żółte, linoleum neutralne, szare, fortepian czarny, polichromia żółtawych ścian — barwna — dużo złota i pomarańczowego gorącego tonu. Kominek z białych kafelek, krata z bronzu złotego, nad kominkiem mozajka bardzo barwna i piękna. Biust Paderewskiego. Witraże w tonach gorących, pomarańczowych, różowych etc...

KONKURSY.

KONKURS „SZTUKI" NA WINIETĘ REKLAMOWĄ.

Redakcja „Sztuki" na propozycję p. Gustawa Zmigrydera, właściciela magazynu konfekcji i bielizny damskiej (Czysta 2), ogłasza konkurs na reklamę artystyczną dla firmy „Gustaw Zmigryder" na warunkach następujących:

1. Ogłoszenie ma składać się z rysunku w jednym kolorze, traktowanego kreskowo lub płaszczyznami i nadającego się do wykonania w kliszy cynkowej. Z rysunkiem, ma być związany napis: Gustaw Zmigryder, Warszawa, ul. Czysta 2. Autora nie krępuje

się ani układem ani treścią kompozycji. Format (minimalny) — połowa kolumny ogłoszeniowej „Sztuki".

2. Autor najlepszego projektu otrzyma nagrodę w sumie rubli 50. Rysunek nagrodzony i prawo reprodukcji tegoż staje się własnością firmy „G. Zmigryder". Redakcja „Sztuki" zastrzega sobie prawo reprodukcji jednorazowej w dziale „sztuki stosowanej" (w tekście) projektów zasługujących podług opinji sądu konkursowego na odznaczenie.

3. Nadsyłać projekty należy — z zachowaniem zwykłych warunków konkursowych — pod adresem: „Sztuki" (Warszawa, Hortensja 3) do dnia 15 października r. b. Rozstrzygnięcie konkursu ogłoszone zostanie w listopadowym zeszycie „Sztuki".

4. Do sądu konkursowego należą pp.: Redaktor Henryk Juszkiewicz, Artyści-malarze: Franciszek Siedlecki i profesor Szkoły Sztuk Pięknych Edward Trojanowski.

KONKURS GRAFICZNY.

Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie ogłasza imieniem Henryka Grohmana konkurs na akwafortę wykonaną jakimkolwiek sposobem przez polskiego artystę i wyznacza w tym celu trzy nagrody, mianowicie: 500, 300 i 200 koron.

Warunki: Akwaforty winny być oryginalne, nie wystawione nigdzie dotychczas. Jest życzeniem, aby akwaforty miały motyw swojski. Prace przeznaczone na konkurs nie opatrzone podpisem, należy oznaczyć godłem, jak również kopertę zapieczętowaną, w której podano być mają: imię, nazwisko i miejsce zamieszkania autora, następnie tak akwafortę, jak kopertę przesłać należy do Sekretarjatu Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie (plac Szczepański l. 4), a to najdalej do 15 czerwca 1911 r.

Skład sądu konkursowego stanowią pp.: Henryk Grohman, Jan Skotnicki, oraz delegaci Towarzystwa Przyj. sztuk pięknych w Krakowie. Piotr Stachiewicz, Akademji sztuk pięknych rektor Teodor Axentowicz i Muzeum Nar. dyr. Dr. F. Kopera.

WYSTAWY.

WYSTAWA AKWAFORT.

Dowiadujemy się, iż urządzoną zostanie tego lata w Zakopanem staraniem p. Henryka Grohmana wystawa akwafort artystów polskich i zagranicznych, ze szczególnym uwzględnieniem Ropsa (600 kartonów). Przyczyni się ona niewątpliwie do rozbudzenia u nas zami-

łowania w zbieraniu akwafort, co znów pomoże do rozwoju rytownictwa i skłoni artystów do oddawania w tej technice swoich twórczych koncepcji.

WYSTAWA WSPÓŁCZESNEJ POLSKIEJ SZTUKI KOŚCIELNEJ.

Wystawa urządzoną będzie w pałacu sztuk pięknych przy placu Szczepańskim L. 4 w Krakowie i otwartą z dniem 1 grudnia 1911 r. Zgłoszenia z zapowiedzią obesłania wystawy przyjmuje się od 1-go lipca 1911 r. Ostateczny czas nadesłania zgłoszonych przedmiotów oznacza się na 1 listopada 1911 r.

Z odezwy Komitetu Wystawy przytaczamy następujące ważniejsze wyjątki:

„Nieraz już odzywały się głosy, nawołujące do skierowania sztuki kościelnej na właściwe tory. Najwięcej dawał się czuć brak instytucji, któraby pośredniczyła między duchowieństwem a światem artystycznym i wytworzyła tradycję zdobienia domów Bożych przez prawdziwych artystów. W obecnym stanie szeroka reklama zagranicy i spryt domorosłych, wszelkiej wyższej idei pozbawionycz budowniczych lub innej kategorji wytwórców sprzętów kościelnych, napotykał w kraju naszym na grunt podatny. W ten sposób kraj tracił miljony, które szły na zakupno dewocjonaliów zagranicznych; mozolnie żebrany grosz na budowę kościoła przyczyniał się do zeszpecenia kraju.

Do kościoła nie powinny mieć wstępu żadne wyroby fabryczne, czy to z zakresu stolarstwa i snycerstwa, czy też bronzownictwa i złotnicwa. Jeżeli zaś wolno jest korzystać wszystkim z postępu nowoczesnej techniki, to nie należy przez to zaniedbywać zupełnie słusznych również wymogów estetycznych. Nadto sprzęty kościelne powinny być nietylko dziełem rąk, ale także umysłu i serca.

Nie jeden z księży proboszczów zamierza czy budować kościół, czy stawiać ołtarz, czy też zamawiać co nowego do kościoła i zebrał na to pewną kwotę: niechże część tego przeznaczy na ogłoszenie konkursu i poda warunki“.

Słyszeliśmy, że w wystawie kościelnej zamierza wziąć udział znakomity rzeźbiarz prof. Xawery Dunikowski, o ile skończy na czas wielką grupę zamówioną przez Jezuitów krakowskich, która zdobić będzie fasadę budującego się nowego kościoła przy ul. Kopernika w Krakowie i nad którą obecnie prof. Dunikowski w celi użyczonej przez Dominikanów, w starym klasztorze, zbożnie pracuje.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

„MIESIĘCZNIK LITERACKI I ARTYSTYCZNY“, pod redakcją d-ra J. H. Retingera. Kraków. Zeszyt majowy zawiera m. in. Andrzeja

Gide'a „Ciasna Brama", Grzegorza Glassa „Herostrat", Feliksa Jasieńskiego „Manggha", Henryka Juszkiewicza „Preludja", Władysława Orkana „Jak było drzewiej" (powieść), Jana Rundbakena „Gdziekolwiek oczy moje się obrócą", K. Sichulskiego „Karton do Witrażu", Aleksandra Szczęsnego „Mądrość serdeczna", L. Wyczółkowskiego „St. Witkiewicz", Listy z życia artyst. i lit. Anglji i Francji. Z ruchu muzycznego w Paryżu i t. d.

„PRZEWODNIK ANTYKWARSKI". Dwutygodnik dla Bibliofilów i zbieraczów, poświęcony bibljografji oraz miłośnictwu książek i zabytków sztuki i kultury. — W numerze 6 i 7 zamieszczono interesujący artykuł p. Jana Lorentowicza „O introligatorstwie u nas dawniej i dzisiaj".

„Od początku XIX wieku — pisze p. Lorentowicz — nasza sztuka „introligatorska jest w zupełnym upadku. ...Ratunek wyjść może „z naszej młodej sztuki stosowanej, gdy ta, po skutecznem już zwró- „ceniu uwagi na drukarską stronę książki zajmie się teraz jej ważną „szatą zewnętrzną, to jest oprawą.

„KRAKOWSKI MIESIĘCZNIK ARTYSTYCZNY". Organ poświęcony sprawom Muzeum narodowego, Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych i Towarzystwa upiększania miasta Krakowa. wychodzi w 10 zeszytach rocznie.

„RÉPERTOIRE D'ART ET D'ARCHÉOLOGIE". Dépouillement des périodiques français et étrangers. Secrétaire: Marcel Aubert. Paris 19 rue Spontini.

OD REDAKCJI.

Następny zeszyt „SZTUKI" rozpoczynający tom II, ukaże się po wakacjach, 1 października.

KOMITET REDAKCYJNY: Alfons Gravier, Henryk Juszkiewicz, Jan Rundbaken, Fr. Siedlecki, Aleksander Szczęsny, Karol Szymanowski.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, HORTENSJA Nr. 3, tel. 215-69.

REDAKTOR i WYDAWCA Henryk Juszkiewicz.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.